Nr. 11. Lwów, dnia 10. listopada 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 10 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Statystyczny pogląd na stosunki łowieckie

w Austryi.

Pod względem stosunków łowieckich i bogactwa zwierzostanów, zajmuje Austrya jedno z najpierwszych miejsc pomiędzy państwami Europy. Podczas gdy we Francyi, Anglii i Niemczech bierze coraz bardziej górę sztuczna zwierzyńcowa hodowla, a zwierza łownego z ostoi jego przyrodzonych coraz bardziej kultura rolna i eksploatacya przemysłowa wypierają — stoi Austrya na tem stanowisku, że ma jeszcze obficie zwierza łownego w kniejach wolnych, a oraz drapieżnego w niepraktykowanej gdzie indziej rozmaitości, kulturę zaś zwierząt aklimatyzowanych i hodowlę zwierzyńcową rozwinęła w niektórych swych prowincyach do znacznych rozmiarów — i to właśnie składa się na obraz całości imponującej.

Jeżeli do tego dodamy, że panujący Austryi należy do zamiłowanych myśliwych, że członkowie rozrosłego domu cesarskiego prawie bez wyjątku z zamiłowaniem łowy uprawiają i na hodowlę zwierza w dobrach swych pilnie baczą, że wreszcie cała prawie arystokracya, naginając się do zamiłowań dworu, na wzorowe prowadzenie łowiectwa należyty nacisk kładzie — stanie się łatwo zrozumiałem, że łowiectwo w Austryi jest kwitnącem.

Od r. 1874 prowadzi c. k. Ministerstwo rolnictwa statystykę łowiectwa, która wyraża stosunki łowieckie Przedlitawii w cyfrach, rzucających pod niejednym względem dość ciekawe światło na pojedyńcze kraje koronne. W zapiskach statystycznych rządu, zbieranych przez państwowych urzędników lasowych, podawane bywają rozmiary obszarów łowieckich, cyfra ubitej corocznie zwierzyny, przyznane odszkodowania za wyrządzane przez zwierzynę szkody, doszłe do wiadomości władz przekroczenia przepisów łowieckich, nareszcie stan służby łowieckiej. Może być, że w cyfrach tych, szczególniej co do ilości ubitego zwierza, nie można na każdy szczegół przysięgać, bo ścisłość matematyczna w takich razach jest wprost nie do osiągnięcia — jeżeli się jednak zważy, że statystyka rozumowania swe i dowody wyciąga z zestawiania i porównywania cyfr ogólnych i to z całego szeregu lat, naówczas przyznać musimy, że niewiele wpływu wywierają na nią drobniejsze pomyłki, obniżające lub przesadzające istotny stan rzeczy. Na wszelki wypadek przypisać należy Austryi zasługę pierwszeństwa w zajęciu się statystyką łowiecką, gdyż dopiero w dziesięć lat później poszły za jej przykładem Prusy, W. Ks. Baden-

skie, Alzacya i Lotaryngia, a spisy, zbierane we Francyi, Szwecyi, Norwegii i innych krajach zajmują się prawie wyłącznie cyframi tępienia ptaków i ssaków drapieżnych i nie obejmują tych wszystkich szczegółów, które wchodzą w statystykę łowiecką Austryi.

Trudno jest podać ogólną wartość zwierzyny, ubijanej corocznie w Austryi, niepodobna bowiem oprzeć się na ścisłych cenach jednostkowych. W przybliżeniu ocenia tę wartość Ludwik Diemitz (*Die Jagd in Oesterreich 1886*) w czasokresie od 1874 do 1882 roku przeciętnie na dwa miliony rocznie. Ale liczba i wartość ubitej zwierzyny wzrasta w latach następnych, można zatem na podstawie późniejszych zestawień cyfrowych ogólną wartość roczną zwierzyny co najmniej na półtora razy tyle ocenić.

Samodzielnych obszarów myśliwskich liczyła Austrya (z pominięciem Dalmacyi) w r. 1890: 18.565, a mianowicie:

3946	w objętości	115	do	172	hektarów
2511	„	172	„	230	„
2079	„	230	„	287	„
4657	„	287	„	575	„
3068	„	575	„	1150	„
2304	„	powyżej		1150	„

Oprócz tego wykazuje statystyka 560 zamkniętych zwierzyńców, t. j. razem 19.125 obszarów.

Największa część tych obszarów przypada na Galicyę, liczymy ich tu bowiem 6044, w Czechach zaś 5868, co się tem tłumaczy, że obszar lasów w Galicyi, stanowiący więcej niż $^1/_5$ część obszaru leśnego całej monarchii, wynosi około dwa miliony hektarów i przewyższa więcej, niż o pół miliona hektarów, obszar leśny Czech.

Ilość służby, zajętej dozorem polowań, wynosi 30.997, z czego 7081 dozorców polowań przypada na Galicyę.

Co do zwierzyny ubitej podaje wykaz za rok 1892 następujące daty: jeleni 12.385, danieli 2788, kozłów 68.110, kozic 8144, dzików 3.509, zajęcy 1.309.688, królików 95.803, świstaków 647.

Z jeleni przypada na Styryę 3013, Niższą Austryę 2255, Czechy 2245, Wyższą Austryę 1812, Morawę 845, Tyrol z Vorarlbergiem 650, Salcburg 490, Szląsk 372, Galicyę 77 sztuk.

Z danieli przypada na Czechy 1769, Morawę 462, Niższą Austryę 291, na Styryę 188 sztuk.

Z kozłów (sarn) przypada na Czechy 12.920, Niższą Austryę 11.683, Wyższą Austryę 9825, Styryę 9252, Morawę 8042, a na Galicyę, mimo iż ma przeszło dwa miliony hektarów lasów, tylko 5797 sztuk!

Z kozic zalicza się oczywiście przeszło $^3/_4$ na kraje przeważnie alpejskie, jak Tyrol (2392 sztuk), Styryę (2176), i Salcburg (2039). Co się zaś tyczy dzików, odnosi palmę pierwszeństwa Galicya, gdyż niemal połowa, t. j. 1535 sztuk padła w kniejach galicyjskich. Nadto ubito w Czechach 738, w Niższej Austryi 681, w Morawii 300, w Wyższej Austryi 201, na Bukowinie 40 a na Szląsku 14 sztuk.

Ze zwierzyny lotnej padło w tym samym roku w całej Przedlitawii: 5143 głuszców, 9458 cietrzewi, 10.851 jarząbków, 2075 pardw, 3259 kamionek, 141.264 bażantów, 1,036.836 kuropatw, 94.995 przepiórek, 26.057 słonek, 14.756 kszyków i dubeltów, 1245 dzikich gęsi, 52.440 dzikich kaczek.

Najwięcej głuszców (1565) przypada na Styryę, dalej na Czechy (1128), Tyrol (776) i na inne kraje alpejskie, na Galicyę 85 sztuk.

Z jarząbków przypada czwarta część na Styryę (2718), dalej na Tyrol 1805, na Galicyę 1565, a na Karyntyę 1451 sztuk.

W olbrzymiej liczbie ubitych bażantów przypada największy udział, bo 60.012 na Czechy, 26.938 na Morawę, reszta na Niższą i Wyższą Austryę oraz na Styryę — na Galicyę zaś... 954 sztuk!

Toż samo przeszło 60% wszystkich kuropatw ubito na polach czeskich; liczba to zdumiewająco wielka, bo wykazuje 606.882 sztuk. Na Morawę przypada 202.091, na Niższą Austryę 149.516 — a na Galicyę.. 12.212 sztuk! Cóż za upokarzające ubóstwo kuropatw w kraju tak przeważnie rolniczym i mającym więcej obszaru niż Czechy!

Zato przeważna część przepiórek, bo aż 37.395 sztuk zapisana jest na Galicyę, 11.859 na Morawę, 11.630 na Czechy a 9080 na Niższą Austryę. Toż samo górę nad innemi krajami ma Galicya w liczbie ubitych słonek; wykazano ich 5324 sztuk, podczas gdy na Czechy 3972, na Styryę 3791, na Morawę 2354, na Pobrzeże 2833, a na Niższą Austryę 1966 sztuk. I z kszyków przeszło $^2/_3$, bo 9202 zapisano na Galicyę, na Pobrzeże 1440, a resztę w drobniejszych ilościach na inne kraje. Z dzikich kaczek przypada na Czechy 17.014, na Galicyę 11.063, na Niższą Austryę 5585, na Pobrzeże 3899, na Morawę 3288, na Styryę 3275, a na Wyższą Austryę 2410 sztuk.

Oto są cyfry najważniejsze, tyczące się zwierzyny pożytecznej. Rzućmy teraz okiem na cyfry ubitych zwierząt drapieżnych, ssaków i ptaków. W ogóle w ciągu r. 1892 padło: 33 niedźwiedzi, 69 wilków, 31 rysiów, 26.553 lisów, 11.281 kun, 30.688 tchórzów, 1267 wyder i 3870 borsuków.

Tutaj występuje Galicya na plan pierwszy w porównaniu z innemi krajami koronnemi. I tak, z całej liczby ubitych niedźwiedzi przypada na Galicyę 13, na Bukowinę 9, na Krainę 6, na Tyrol 5. Z wilków niemal $^3/_4$ całej liczby, bo 50 sztuk przypada na Galicyę, 17 na Bukowinę, a po jednemu na Morawę i Krainę. Z rysiów 25 ubito w Galicyi, 4 na Bukowinie, po jednemu na Szląsku i w Styryi.

Inaczej rzecz się ma z kunami i tchórzami, tu palmę pierwszeństwa odbierają Czechy, gdzie ubito 3298 kun i 17.446 tchórzów, a po Czechach następują Niższa Austrya, Morawa i Styrya.

Z drapieżców lotnych mieści w sobie wykaz z r. 1892 w całej Austryi 101.960 jastrzębi, sokołów i t. p., oraz 1114 puhaczy, oprócz innych sów, wron, srok i t. p. I tu znowu poważne cyfry przypadają na Galicyę.

Wymowa powyższych cyfr jest bardzo zrozumiała; poucza ona w ogóle, że jeśli idzie o drapieżców, góruje kraj nasz nad wszystkiemi innemi i stanowczo należy do Wschodu, gdzie stosunki łowieckie nie są wcale uporządkowane, i gdzie przyroda sama, oddawszy mocnemu panowanie nad słabszym, reguluje w ten najpierwotniejszy sposób zwierzostany łowne. Jeśli zaś idzie o zwierzynę łowną, a w szczególności rochmanną, to miewamy stosunki co krok niemal odmienne, knieje puste obok kniei bogatych, ale w ogólności zwierzostan zły, który nas stawia na dalekiem miejscu po za innemi prowincyami Austryi. Nawoływania do większych starań około pielęgnowania zwierzyny łownej są zatem jeszcze zawsze potrzebne, i nie powinny schodzić z porządku dziennego rozmów i obrad między łowcami i w naszych Towarzystwach myśliwskich.

* * *

Takim jest statystyczny obraz myśliwstwa całej Austryi i stan łowiectwa Galicyi w porównaniu z innemi krajami koronnemi.

Rzućmy teraz okiem na cyfry ubitej zwierzyny w samejże Galicyi, porównajmy je w ciągu całego szeregu lat, t. j. od r. 1886 do r. 1892 i wyciągmy stąd wnioski, tyczące się rozwoju naszego myśliwstwa i hodowli zwierza łownego.

W zakresie czworonożnych zwierząt łownych wykazują tabele statystyczne, iż ubito w roku:

	jeleni	*danieli*	*kozłów*	*dzików*	*zajęcy*	*królików*
1886	43	31	5308	1309	38.915	27
1887	81	33	5437	1373	42.428	168
1888	25	—	5382	1169	45.488	11
1889	23	—	5500	1421	47.962	78
1890	63	6	5625	1147	51.844	12
1891	58	10	5645	1236	43.202	7
1892	77	37	5797	1535	47.933	65

Tabelka ta poucza nas, że o podnoszeniu się hodowli zwierzyńcowej jeleni i danieli nie ma w Galicyi wiele do mówienia; a jeśli wzmaga się nieco cyfra ubitych jeleni, strzelanych wolno w kniejach górskich, to nie dlatego, ażeby się zwierzostan jeleni wzmagał, lecz z powodu lepszej organizacyi myśliwych w ostatnich czasach, powstania kilku towarzystw łowieckich, które coraz głębiej w górskie rewiry sięgają, a nakoniec ulepszonej broni, ułatwiającej strzelanie zwierzyny.

Zupełnie te same konkluzye należy zdaniem naszem wyciągnąć ze wzmagającej się bardzo nieznacznie cyfry ubitych sarn. Różnica około 400 sztuk w ciągu siedmiu lat nie stanowi wcale dowodu, ażeby w tym czasie zajęto się energicznie i równomiernie hodowlą zwierza rochmannego. Niewątpliwe i znane są wprawdzie knieje, w których bardzo wiele dla podniesienia zwierzostanów sarn zdziałano — lecz należy je zaliczyć do wyjątków, wpływających bardzo mało na cyfry, których cały kraj dostarcza, a tych cyfr konkluzyą jest zastój. I niewątpliwie tak jest w porównaniu z innemi krajami koronnemi. Nie mówimy już o ogólnym stosunku ilości zwierza do obszarów kniejowych — bo w tym względzie Galicya stoi na szarym końcu, i żadnego porównania nie wytrzymuje — ale zaznaczamy, że w owych krajach wzrasta cyfra ubitego zwierza rochmannego, pomimo wyższej kultury rolnej, w znacznie wyższym stopniu, niż w Galicyi. Wzrost ów przedstawia się między rokiem 1886 a 1892 w cyfrach procentowych jak następuje: w Wyższej Austryi o 22·5%, w Czechach o 18%, w Morawie o 18%, w Styryi o 11%, w Niższej Austryi o 10%, a w Galicyi o 8% — i jeśli n. p. w Czechach jedna ubita sarna w r. 1892 przypadała na 102 hektarów lasu, to w Galicyi ta sama jedna sarna przypadała aż na 334 hektarów lasu!

Z cyfry ubitych dzików wynika także tylko konkluzya użycia lepszej broni i większej ilości polujących, lecz zresztą stan niezmienny, a co do zajęcy widoczna oscylacya, będąca wynikiem późnych lub wcześniejszych wiosen, wylewów i zaraz motylicowych.

W zakresie ptactwa łownego przedstawiają się cyfry jak następuje:

	głuszców	*cietrzewi*	*jarząbków*	*bażantów*	*kuropatw*	*przepiórek*	*słonek*	*kszyków*	*dz. gęsi*	*dz. kaczek*
w r. 1886	71	362	1127	551	11.245	21.609	6325	11.300	465	12.516
1887	86	311	1301	709	12.026	31.210	6593	12.058	495	14.424
1888	100	259	1331	599	9.050	27.091	5524	11.909	618	13.632
1889	73	243	1085	664	11.715	27.258	4593	10.193	426	11.724
1890	74	282	1123	548	12.956	29.978	5427	10.170	718	10.335
1891	58	301	1114	1099	10.272	32.500	6344	11.550	378	11.988
1892	85	409	1565	954	12.212	37.395	5324	9202	360	11.063

Z tabelki powyższej wynika, że stan kuropatw, któryby mógł być przy pewnej staranności podniesiony, jest ciągle bardzo zły, stan przepiórek zależny od lat, zatem chwiejny, a stan dzikich kaczek i kszyków, mając na uwadze coraz większą liczbę myśliwych i broń udoskonaloną do polowań błotnych, zmniejszający się stale, co byłoby w zgodzie z postępującem osuszaniem błót i stawisk, i ze stopniowem wciąganiem ich pod uprawę rolną.

Przejdźmy teraz do ssaków drapieżnych i szkodliwych. Tabelki statystyczne wykazują, że ubito w r.

	niedźwiedzi	*wilków*	*rysiów*	*lisów*	*kun*	*tchórzów*	*wyder*	*borsuków*
1886	9	111	32	6408	802	389	227	361
1887	24	85	19	7318	734	566	246	368
1888	12	89	28	7113	686	627	304	393
1889	16	97	17	6289	719	534	228	276
1890	20	89	20	5413	503	538	271	459
1891	19	71	19	6178	566	501	220	405
1892	13	50	25	6623	623	409	265	542

Co się zaś tyczy ptactwa drapieżnego, znachodzimy cyfry następujące:

	orlów	*jastrzębi i sokołów*	*puhaczów i sów*
w r. 1886	314	7845	1751
1887	298	6464	1601
1888	323	7560	1836
1889	165	6418	2239
1890	236	7818	1484
1891	226	8956	1826
1892	259	8223	1436

Stoimy zatem co do drapieżców w ciągu całych siedmiu lat na cyfrach mało zmiennych, które wskazują, że łowy co do rozmaitości zwierza (a nie wliczono tu jeszcze żbików), mają w Galicyi bardzo wiele powabu, ale że wskutek zbyt powolnego tępienia drapieżców utrudnionym jest rozrost zwierzostanów pożytecznych, i że szczególniej w górskich rewirach, gdzie są nie łatwo przystępne gniazda szkodników, nie wnet jeszcze będzie się mógł cieszyć łowiec kniejami pełnemi sarn i zajęcy.

* * *

Pozostaje nam jeszcze kilka słów i cyfr, tyczących się handlu zwierzyną. Biorąc za podstawę Austro-Węgry, t. j. całą monarchię, obliczamy wartość wywozu zwierzyny ro-

cznie na blisko dwa miliony zł. w. a. Szczegółowe cyfry urzędowe z lat ostatnich przedstawiają się jak następuje:

W r. 1889	wywieziono	17 932	metr. cetn. wartości	1,075.920 zł.
„ 1890	„	21.801	„ „ „	1,635.075 „
„ 1891	„	16.491	„ „ „	1,401.737 „
„ 1892	„	16.771	„ „ „	1,641.830 „
„ 1893	„	18.878	„ „ „	1,887.900 „

Krajami, do których zwierzyna z Austryi bywa wywożoną, są: Francya, Niemcy, Wielka Brytania i Szwajcarya.

Przywóz zwierzyny do Austryi jest natomiast bardzo nieznaczny i wynosił w powyższych pięciu latach z przecięcia około 400 met. cetn. wartości 20.000 zł. Źródłami tego przywozu były Rosya i Niemcy.

St.

ZISZCZONE MARZENIE.

— Prędzej panie Bonifacy, bo pociąg odejdzie! — wołał z fiakra p. Floryan, naczelnik straży ogniowej, zwracając się ku otyłej, podsadkowatej postaci p. Bonifacego, który stojąc przed domem, dawał jeszcze ostatnie polecenia i odbierał torby.

— Mówię panu, że się spoźnimy, inni już dawno pojechali.

— Już siadam, już siadam — odparł sapiąc p. Bonifacy, i jął się gramolić na stopnie. — Pa! Rozalciu, pa! — dodał, posyłając palcami całus ku oknu pierwszego piętra, w którem widniała postać młodej kobiety w zalotnym negliżu porannym.

— Pa, Rozalciu, pa! — i już konie ruszyły, a w drzwiach sklepu bławatnego, którego p. Bonifacy był właścicielem, i który właśnie co otworzono, kłaniał się uprzejmie młody, wysmukły buchalter.

— Gwałtu, stawaj! — krzyknął nagle p. Bonifacy, zrywając się z siedzenia.

— Co takiego?

— Taże strzelbę zapomniałem! — wołał sapiąc p. Bonifacy. — Panie Hilary — dodał, zwracając się ku buchalterowi — bądź pan łaskaw...

Uprzejmy buchalter wyskoczył ze sklepu i ruszył po schodach, równocześnie zniknęła z okna urocza sylwetka pani Rozalii, i niebawem zjawił się stróż sklepowy i wręczył p. Bonifacemu broń morderczą w eleganckim futerale.

— Pa, Rozalciu, pa! — wołał p. Bonifacy, chociaż uroczej jego połowicy w oknie już nie było, pan naczelnik straży ogniowej uderzył kułakiem powożącego żydka w kark i jak strzała pomknęli ku stacyi kolejowej, skąd dochodził już świst złowrogi.

Takim był wyjazd p. Bonifacego na polowanie w góry, o którem już długo marzył. Bo pan Bonifacy, aczkolwiek porządny bardzo obywatel, właściciel dwupiątrowej kamieniczki i pierwszorzędnego sklepu towarów bławatnych, miał tę jedną słabość, że lubił czasem z towarzyszami spółki myśliwskiej wyjeżdżać na polowania. Twierdził z całą powagą, że czyni to z ordynacyi lekarskiej, ażeby schudnąć, gdyż peryferya jego wzrastała z każdym roczkiem — ale jeżeli kto przypatrzył się tym wszystkim koszom, puszkom i torbom, jakie p. Bonifacy brał ze sobą na polowanie, ten nie mógł zapewnień cwych brać na seryo i musiał przypuszczać, że to raczej śniadanka obficie zakrapiane, a nie zapach prochu, ciągnęły p. Bonifacego do kniei. Wszakże i teraz zapakował cały kozioł i siedzenie w fiakrze torbeczkami i koszykami, a o flincie zapomniał.

Pomimo tego pewne myśliwskie marzenia trapiły bezustannie p. Bonifacego, odbierały mu sen i spokój. Urządzić sobie gabinecik myśliwski, to było pierwsze z marzeń i dopiął go do pewnego stopnia; miał kilka sztuk broni w czarnej szafce z dębiny, miał kilim, a na nim dwie stare szerpentyny, parę pistoletów, róg strasznie długi, manierkę i odwieczny rożek na proch — miał nawet dwie pary rożków sarnich, zdobycz wycieczek myśliwskich. Ale marzenia p. Bonifacego szły jeszcze dalej — chciał mieć rogi jelenia, a tu jak na złość trudno było z bydlęciem tem gdziekolwiek w kniei się spotkać.

Ktoś dał mu praktyczną radę i nastręczył rogi na sprzedaż. Była to gipsowa głowa jelenia, mającego trochę podobieństwa do krowy, a trochę do wielbłąda, pięknie polakierowana, z równie pięknie polakierowanemi rogami, z których jeden był z ósmaka a drugi z dwunastaka. Gdy p. Bonifacy głowę tę w gabinecie myśliwskim zawiesił, wyśmieli go koledzy ze spółki łowieckiej, musiał więc tę szczególną ozdobę kazać wynieść na strych. I otóż od tej chwili jedynem, najgorętszem marzeniem p. Bonifacego były rogi, ale to prawdziwe i naturalne rogi z jelenia, któregoby sam ubił, i mógł niemi myśliwski swój gabinet przyozdobić.

Teraz marzenie to było bliskiem ziszczenia, bo oto wyjeżdżał na polowanie w góry, gdzie, jak go upewniano; mógł z lada jakiego krzaku wyleźć jeleń pod lufę.

I szczęśliwie nie spóźnili się do pociągu; zdążyli jeszcze zadyszani wskoczyć do wagonu, konduktor zatrzasnął drzwiczki, lokomotywa świsnęła i p. Bonifacy leciał ku rogom jelenim, a w duszy jeszcze żegnał swą połowicę słowami:

— Pa, Rozalciu, pa!

I nie można się dziwić, że oprócz rogów miał p. Bonifacy jeszcze panią Rozalię w pamięci, gdyż była to niewiasta wielkiej urody i zalotności, w młodzieńczej pełni lat i kształtów, zdolna w niejednym najżywsze wzbudzić uczucia. Oczy miała czarne, a pełne ognia, choć maleńkie. Pan naczelnik straży ogniowej mawiał, że zaraz mu się chce po sikawkę jechać, gdy w te oczy spojrzy. Inni wyrażali się poetycznie, że czują się strzałami przeszyci, gdy na nich p. Rozalia oczkami strzeli. A fakt jest, że pani Rozalia, chociaż nie zapisana do spółki myśliwskiej, strzelała oczami na prawo i na lewo i robiła zdobycze na swój sposób. Co nieco nawet gadano o tem po mieście, jako że tusza p. Bonifacego, jego wiek podżyły i łysina otoczona dwoma kosmykami siwiejących włosów, wielce go od Appolina różniły — lecz plotki zostawały plotkami, a Bonuś i Rozalcia, chociaż nie

pobłogosławieni potomstwem, tworzyli zgodne i kochające się stadło.

Do tej zgody i kochania przyczyniało się w wysokim stopniu fachowe zajęcie p. Bonifacego. Sprowadzając najmodniejsze towary bławatne, fulary, kaszmiry, kretony, satyny, i t. d, dawał on p. Rozalii sposobność zatapiania się w tych cudownych wyrobach i strojenia się w nie do woli. Że zaś p. Rozalia miała figurkę bardzo wciętą i kształtną, więc stanowiła chodzący żurnal i najlepszą reklamę handlu p. Bonifacego. I jakże tu nie kochać męża, który tyle sukien dostarcza? A tem bardziej, jeżeli na czele magazynu stoi młody buchalter, smukły blondynek, który pani pryncypałowej przynosi ze sklepu wszystko, czego dusza zapragnie, a nawet sam miarę na stanik bierze?

Wszakci i teraz — gdy pan Bonifacy leci pędem pary po rogi jelenie — zatrzymał się buchalter przy pani pryncypałowej, odesławszy fuzyę na dół, i ze słodkim wyrazem ściska rączkę a zachwala nowo przysłane towary jesienne. Już nawet wyciągnął centymetrówkę, sprawdza po uroczym negliżyku dobrze znane wymiary stanika i rękawów i przedłuża niebezpieczne sam na sam...

Ach, lecz konfekcya sukien niewieścich ma swoje prawa i wymogi, w które profan zapuszczać się nie może. Rzucamy więc zasłonę na te tajemnice krawiectwa damskiego i ruszamy w pogoń za p. Bonifacym i jego towarzyszami.

*
* *

Wesołe gronko myśliwych unosiła para ku sinym górom. Poranek był wczesny, chłodny, pełen mgieł opadających i obfitej rosy, która rozbłyskiwała w promieniach słońca, wychylającego się z po za oparów jesiennych.

Cóż to za cudny wstęp do łowów? W oddziałach wagonu, które zapełniła spółka myśliwska, huczało od wybuchów śmiechu, przypominano przygody z dawniejszych polowań — przymawiano sobie i rojono najpiękniejsze spotkania. Że zaś chłodno było, a przeciw chłodowi najlepszym medykamentem jest koniak, więc wyciągnięto butelkę z prowiantów p. Bonifacego i czarka szła w kółko, najprzód za zdrowie Bońcia, potem za zdrowie Rozalci i t. d.

Świetne też były humory, gdy przyszło wysiadać na końcowej stacyi i na oczekujących podwodach podjechać do pobliskiej kniei. Śmianosię i krzyczano, a p. Bonifacy chciał już na wiwat strzelać, lecz go na szczęście powstrzymano.

Słońce tymczasem podniosło się nieco ku górze, napełniało światłem i weselem dymiące mgłami parowy, scałowywało rosę z traw i krzewów i słuchało dziękczynnych śpiewów ptactwa, które nie sprzeniewierza się ziemi rodzinnej i nie leci w ciepłe kraje, ale umie walczyć z śniegiem i mrozem, gdy natura do walki je wyzwie. Choć wiatru nie było, bór szumiał poważnie, przepełniony jakąś uroczystością świątyni, gdzie przyroda tajemnice cudownych swych przemian święci. Spoważnieli nawet nasi rozweseleni myśliwi, gdy przestąpili próg kniei i szli już cichcem gęsiego za przewodnikiem, który ich wiódł na stanowiska.

Knieja była górska, ścieżki strome, więc p. Bonifacy sapał jak miech kowalski, ale podnosił swe słoniowe nogi jak mógł najwyżej, żeby tylko towarzyszom kroku dotrzymać. A co chwila wydarzało mu się coś niemiłego — to się wyśliznął na wilgotnej zboczy gliniastej, to wpadł twarzą w całą sieć pajęczyn, splątanych między krzakami, to zaczepił rzemieniem od strzelby o gałęzie. Tak go to męczyło i irytowało, że zaglądał co chwila do manierki, chcąc oddech wzmocnić i siłę nerwów podtrzymać.

Tak dotarł wreszcie do swego stanowiska i padł odrazu na pniak, aby odpocząć. Ale na odpoczynek nie wiele było czasu, bo nagonka już zachodziła i słychać było huculów, jak się nawołują i patykami o buki i świerki walą. Stał p. Bonifacy, stał i stał, co chwila strzelbę podnosił i znowu ją spuszczał, już chciał strzelać do jelenia, gdy wtem knurek z krzaka wylazł i miot olbrzymi skończył się na niczem.

Pędzili więc dalej p. Bonifacego po debrach i jarach, kazali mu przeskakiwać przez potoki i przełazić przez złomy, a przytem na stanowiskach tak nic na niego nie wychodziło, że uczuł się szczęśliwym dopiero około godziny 2-ej popołudniu, gdy siadł przy ognisku i wraz z innymi zabrał się do śniadania.

Miny naszych Nimrodów znacznie były rzadsze, niż w chwili przyjazdu, obiecywano sobie wiele, a znaleziono — bardzo mało — pocieszano się przeto gorącym bigosem, szynką, sardynkami, słoniną paprykowaną i serem liptawskim podlewając to wszystko na frasunek jeszcze większą ilością, najrozmaitszych trunków.

— Będzie lepiej, będzie lepiej! — pocieszał p. Floryan — ten miot pod „skałką“ nagrodzi nam wszystkie trudy i zawody, będą lisy i kozły, a niech mnie piorun trzaśnie, jeśli nie będzie jelenia.

Mówiąc to łypnął bokiem na p. Bonifacego, któremu się choć ta pociecha należała za całe kosze specyałów i armię butelek, rozrzuconych po wypróżnieniu smętnie naokoło ogniska.

Wzmianka o jeleniu nie przeleciała bezskutecznie koło ucha pana Bonifacego. Patrzał on przed siebie maślanym wzrokiem, a niektóre przedmioty już mu się dwoiły, ale pierś zato oddychała swobodnie i czuł w sobie taką siłę i ogień, że nietylko jelenia ubić, ale hydrę lernejską gotów był za uszy pochwycić.

Skoczył tedy na równe nogi i z jelenim wieńcem przed oczyma duszy zawołał: Naprzód!

Dano znak. Nagonka, obłowiwszy się resztą specyałów, poszła cichcem w jedną stronę, myśliwi w drugą, cisza zaległa knieję i tylko bór jednostajnym pomrukiem zdawał się zrzędzić za zamącenie ciszy i zbyt obfite libacye.

Stanowisko p. Bonifacego wypadło na samej „skałce.“ Prześliczne było to miejsce. Jak daleko okiem zasięgnąć, roztaczały się debry, skały, lasy i laski, spadające ku szerokiej dolinie, którą przerzynała kapryśnym meandrem srebrna wstęga rzeki. Nad jej brzegami widniały chaty siół, cerkiewka otoczona lipami, a w około różnobarwna szachownica pól, to ciemnych, świeżo zoranych, to jeszcze zielonych z rzepą ścierniową, nareszcie żółte ścierniska, skąd spóźniony plon sprzątnięto. Słońce patrzyło na to wszystko łagodnie, na pół sennie, zniżając się ku horyzontowi, i jakby chcąc wynagrodzić skrócony swój bieg jesienny, przygrzewało trochę, jak to czasem w jesieni bywa.

W około p. Bonifacego szarpała się jeszcze przyroda do nowego życia. Wrzosy kwitły, macierzanka wypuszczała nowe pędy i z kwiatuszków swych liliowych rozsiewała aromaty, bluszcze czepiały się kamienia młodym, świeżym liściem, jakby nie myśląc o śmierci, a ogrzane powietrze lekkim swym oddechem unosiło przędzę Matki Boskiej wysoko pod przeczysty błękit.

W kniei panowała uroczysta cisza. Miot był olbrzymi, obejmował parę wzgórków i kilka jarów, huczkowie, pokrzepieni resztkami wódki, złamali linię i rozbiegli się gdzieś bokami, sąsiada w debrze nie było widać — p. Bonifacy czuł się zatem jakgdyby na odludnej wyspie, od wszelkiego

ruchu świata oderwany. Tylko czasem sroki lub sojki, te szpiegi kniejowe, podleciawszy bliżej, przypatrywały się z ukosa p. Bonifacemu i krzykiem urywanym dawały znać wszelkiej zwierzynie, że na „skałce“ czycha na nią morderca.

Ale p. Bonifacy nie miał nic a nic miny srogiego mordercy. Strzelbę położył na ziemi, kurtę rozpiał na piersiach, bo mu zaczynało być gorąco, i myśląc o Rozalci i rogach, wpatrywał się maślanym wzrokiem w roztaczający się przed nim krajobraz.

Po chwili takiego wpatrywania się, głowa mu zaciężyła, oparł się zatem o skałę, potem skłonił się na bok, na kępki macierzanki — i tak dalej czekał na głosy nagonki...

...Nie wiadomo jak długo tak czekał, ale po chwili zaczął się las przed oczyma jego ożywiać. Głosy nagonki odezwały się w oddali i wypadł najprzód kopyra. „Aha, mam cię!“ — rzekł do siebie p. Bonifacy i już brał za strzelbę, gdy wtem przypomniał sobie, że w kniei ma być jeleń, i że go strzałem do zająca przestraszy, więc pogroził tylko palcem zajączkowi i rzekł mu: „A ty łajdaku!“ Kopyra wszakże, zamiast umykać, zakołkował, słuchy wzniósł do góry, jął się przypatrywać p. Bonifacemu i kręcił głową, jakgdyby chciał mówić: „Oj, oj! A skądże się wziął taki myśliwy?“

Lecz przestraszyła zająca gromadka sarn, która nagle wyskoczyła z krzaków i czesała przez linię. „Oho! coś to będzie!“ — rzekł do siebie p. Bonifacy i ścisnąwszy strzelbę rękami, gotował się do spotkania.

Aj, nie mylił się wcale. Łomot wielki rozległ się między krzakami i wypadł z nich jeleń, ale to jeleń jak kościół Maryacki, z rogami tak dużemi, że zamiatał niemi po wierzchołkach drzew. Serce zapukało mocno p. Bonifacemu, zawahał się nawet, czy można strzelać do zwierza tak wielkiego, ale myśl, że rogami jego przyozdobi swój pokój myśliwski, dodała mu sił i odwagi. Skoczył naprzód, wycelował, gruchnął z obu lufek i jeleń padł jak długi. Pan Bonifacy aż się spocił z nadmiaru odwagi, kolana pod nim drżały, ale musiał pójść przecie oglądnąć powalonego olbrzyma. „A nuż się jeszcze ruszy?“ — mówił sobie w duchu. — „Wszakże bywały okropne wypadki, jak jeleń, choć zabity, zrywał się i brał myśliwego na rogi.“ I znowu go odwaga odchodziła, i pocił się i zatrzymywał, aż wreszcie szarpnął się naprzód.

Ale cóż to? Poła od kurtki zahaczyła się na gałęzi i nie puszcza p. Bonifacego. Co się szarpnie, to znowu go w tył ciągnie. A cóż tam za licho! P. Bonifacy wytężył wszystkie siły, szarpnął się jeszcze raz i... obudził się.

Tak jest, obudził się p. Bonifacy, bo cała ta scena myśliwska była snu igraszką, snu bardzo smacznego na wezgłowiu z macierzanki wśród łagodnych oddechów jesieni.

Ale coś go przecież szarpało? Odwraca się tedy i widzi najokropniej rozburzoną swą torbę myśliwską, której gurt uciskał mu ramię, a od torby z półkurkiem pieczonym w mordzie, na którym bujały jeszcze resztki podartej gazety, umykał czemprędzej lisiura.

I przestrach i wstyd ogarnął biednego p. Bonifacego; chwycił strzelbę, chciał się zmierzyć i strzelać, ale mykita skoczył w krzaki i tyleś go widział. P. Bonifacy zdziwił się tylko, że ma jedną rękę mocno zwilżoną. Przypomniał sobie srogie, gorące poty, które we śnie przechodził, lecz gdy prawicę obcierał, zaleciała go woń ostra, przejmująca i przekonał się że byłto poprostu... bilet wizytowy, zostawiony przez chytrego mykitę.

Skonfundowany do reszty takim wynikiem polowania, powstał p. Bonifacy, otrząsł się i rozglądnął, gdzie właściwie jest i co się z nim dzieje.

Spał widocznie z półtora godziny, gdyż słońce zapadało już za mgły zachodnie i oblewało cały nieboskłon krwawemi barwami. Wiaterek chłodny szeleścił między schnącym liściem buków, a tu i ówdzie słychać było odległe wołania hnczków, którzy się zupełnie pogubili. Tejże chwili odezwał się także róg myśliwski, dający towarzyszom znak do odwrotu z linii. P. Bonifacy przerzucił tedy strzelbę przez ramię, zapiął kurtkę i ruszył ku debrze, w której było stanowisko p. naczelnika straży ogniowej.

— Czemużeś pan nie strzelał do lisa? — zawołał p. naczelnik do schodzącego z góry sąsiada.

— Ja? do lisa? do jakiego lisa? — rzekł p. Bonifacy, symulując przesadnie okrutne zdziwienie.

— Sznurował wprost na pana, będzie temu z pół godziny — rzekł naczelnik — byłem pewny, że panu pod nogi wlezie.

— Nie widziałem, jak Bo-a kocham, nie widziałem! — odparł p. Bonifacy, rumieniąc się w duszy za tak okropne kłamstwo.

— Był to jedyny zwierz, którego tu na tem przeklętem stanowisku widziałem! — zawołał p. naczelnik, i zaklął od stu tysięcy dyabłów, gdyż go irytował zły przebieg całego polowania.

Wieczór już zapadał, cała tedy gromadka miejskich Nimrodów wróciła podwodami do stacyi kolejowej, ażeby tam jeszcze dwie godziny na odjazd pociągu oczekiwać. Źli, klnący, zdesperowani, z dwoma zającami i jednym lisem, ulokowali się w ciasnym szyneczku, który udawał salę poczekalną III. klasy. Tutaj wydobyto jeszcze na jaw resztę zapasowego jadła i płynów i traktowano się wzajemnie, oskarżając ożarłoctwo p. Bonifacego, bo miał jeszcze w torbie pół kury pieczonej i sam ją na stanowisku „zbuchał“. P. Bonifacy uśmiechał się i ekskuzował, ale w głębi duszy przeklinał lisa, który mu zjadł podwieczorek, bo koledzy nie chcieli już nic dać p. Bonifacemu, a szynkarz miał tylko prostą wódkę, kwaśne piwo, kugiel szabasowy i twarde jak kość węgierskie salami.

Otóż wypiwszy jeszcze co się dało na frasunek, z głowami więcej zamroczonemi niż wesołemi, wsiedli nareszcie Nimrodzi nasi do wagonu i po godzinnej jeździe stanęli w mieście.

Tutaj p. Floryan i p. Bonifacy wracali znów razem, tak, jako razem rano wyjeżdżali. Pustka była na rynku. Z hurkotem niemałym zatrzymał się roztrzęsiony fiakier przed sklepem i kamienicą p. Bonifacego. Gdy dojeżdżali, p. naczelnik straży ogniowej, tkliwy na wszelkie wrażenia ognia, dojrzał brzeżek światła, wychodzącego z pod zapuszczonych stor w dwóch oknach pokoju pani Rozalii, ale światło to znikło, gdy powóz stanął przed domem, i wszystkie okna były w zupełnej ciemności pogrążone. P. Bonifacy, powyrzucawszy na bruk próżne swe torby i kosze, wygramolił się sam chwiejnie z fiakra i przypadł do dzwonka u bramy. Pan naczelnik tymczasem powiedział mu „dobranoc!“ i ruszył do siebie. A jadąc przez cały rynek i przez długą ulicę, oglądał się kilka razy, i ujrzawszy Bonusia, stojącego jeszcze ciągle pod bramą, kiwał głową w dziwnem zadumaniu.

Nie było wszakże powodu do tych zdziwień i kiwań, bo p. Benifacemu otworzono wreszcie bramę po półgodzinnem dzwonieniu. Zły był i klął siarczyście, bo schody były ciemne, a idąc po nich, potknął się jakby o jakąś osobę

przy murze stojącą — ale gdy wyszedł na górę, a Rozalcia w rozkosznym negliżyku ręce mu na szyję zarzuciła, zapomniał o wszystkiem i odetchnął swobodnie z pełnej piersi.

Nie było już czasu na rozmowy, zwłaszcza, że Rozalcia zapewniała, iż dopiero co z głębokiego snu się ocknęła i bardzo jest śpiąca. P. Bonifacemu ciążyła także głowa do poduszki, a nogi go na bok trącały — rozebrał się tedy czemprędzej i zniknął pod kołdrą. Było mu tylko dziwnie, że chociaż już tak dawno opuścił zadymioną salę poczekalną, zachodził go ciągle dym papierosów, którym sypialny pokój państwa Bonusiów zdawał się być zapełniony.

* * *

Po każdym ekscesie zrywa się w człowieku nie zepsuta natura ludzka i szuka dróg poprawy. Tak samo, szukając dróg poprawy, zerwał się nazajutrz bardzo wcześnie p. Bonifacy i przyrzekał sobie, że cały dzień jak najpożyteczniej w sklepie przepędzi.

Ubierał się tedy, pozostawiając Rozalcię w głębokim śnie pogrążoną. A gdy tak różnych rzeczy do ubrania szukał, znalazł najprzód na stoliku cygarniczkę z niedopalonym papierosem. Wziął ją do ręki, przypatrywał się jej długo, potem rzucił melancholijnym wzrokiem na śpiącą Rozalcię, i szybkim ruchem schował cygarniczkę do kieszeni.

Z obliczem schmurzonem zbliżył się do toalety. Tu, obok grzebienia, leżała męska krawatka. I ten szczególny przedmiot wziął do ręki, oglądał go długo, i znów melancholijnym wzrokiem rzucił na śpiącą Rozalcię i jeszcze gwałtowniej ukrył krawatkę w kieszeni.

Gdy podniósł grzebień i spojrzał do lustra, wyrwało mu się z piersi głębokie westchnienie. Około błyszczącej łysiny wznosiły się ku górze dwa, nieco naprzód wychylające się kosmyki siwiejących włosów.

P. Bonifacy westchnął jeszcze raz. Ziściło się jego najgorętsze marzenie — miał rogi.

St.

Wycieczka na łosie do Norwegii.

Hr. Maksymilian Schwerin-Putzar, który w roku ubiegłym wyjeżdżał na łosie do Norwegii, zdał z tej wycieczki sprawę na zgromadzeniu łowieckim w Pomeranii i podał szczegóły, które nie będą bez interesu dla szerszego koła myśliwych.

„W początkach sierpnia — opowiada hrabia — postanowiłem wybrać się do Norwegii na łosie. Udałem się więc o pomoc do jednego ze znajomych, który już kilkakrotnie w północnych okręgach Norwegii na zwierzęta te polował, a ten zalecił mi kapitana Juell w Namzos, jako takiego, który najlepsze rewiry łosie miewa do wydzierżawienia. Radził przytem, aby się zaraz z kapitanem porozumieć, bo łowy na łosia rozpoczynają się z dniem 1. września, i gdybym się później zgłosił, mogłyby już najlepsze rewiry być zajęte. Jakoż napisałem natychmiast do Juella i otrzymałem telegraficzną odpowiedź, że niektóre rewiry są jeszcze do wzięcia. Przyjąłem ofertę również w drodze telegraficznej, a w kilka dni otrzymałem pocztą karty wynajętych rewirów i list od kapitana, mieszczący w sobie nadzwyczaj cenne informacye.

Dnia 3. września wybrałem się w drogę. Rynsztunek mój składał się z podwójnego sztućca Sauera kalibru 450 o sześciogramowym naboju prochu, z drylinga, niezbędnej odzieży, koców i obuwia zapasowego. Ponieważ chciałem stanąć jak najprędzej na miejscu, obrałem drogę lądową, udałem się więc z Malmö przez Gothenburg i Christianię do Drontheimu, a stamtąd parowcem do Namzos. Z podróży tej nie wiele mam do opowiedzenia. Okolice są wprawdzie ładne, ale nie mają w sobie nic nadzwyczajnego.

Dnia 8. września wieczorem stanąłem w Namzos, gdzie mnie zaraz na parowcu kapitan Juell powitał. Postarał się już o wyborną dla mnie kwaterę, a że oprócz kilku flaszek koniaku nie brałem zresztą żadnej żywności, bo przyjacielem konserw mięsnych nie jestem, mogłem już nazajutrz rano udać się na miejsce łowów.

Wydzierżawiłem sześć rewirów, miałem więc wedle tamtejszych zasad prawo do sześciu łosiów. Kapitan doradził mi, ażebym rozpoczął od rewiru najbliżej od Namzos położonego, gdyż w dalszych rewirach sąsiednich polują właśnie inni myśliwi i niepokoją knieje. Poszedłem za tą radą i dnia 9. września dostałem się wózkiem do pierwszej mojej stacyi, do zagrody chłopskiej w Loedding. Pośniadawszy nieco, ruszyłem bezzwłocznie na polowanie, które jednak w dniu tym na niczem się skończyło. Naszliśmy wprawdzie na trop byka i klempy, ale wskazywał on wyraźnie, że zwierzęta widocznie spłoszone wyniosły się z kniei. Mimo to nastawał mój przewodnik, abyśmy szli dalej, a żem nie znał jeszcze podówczas obyczajów łosi, zgodziłem się na to, choć wkrótce poznałem, że pościg jest daremny. W ucieczce przebyły dwa łosie jeziorko, mające niezawodnie około 400 kroków szerokości.

Idąc za łosiami widziałem kilkakrotnie pardwy śnieżne i głuszce, ale ze względu na łosie nie strzelałem do nich. W rewirze tym polowałem przez pięć dni z rzędu, robiłem forsowne marsze i nie dostałem nigdzie łosia na strzał. Wytłoki spotykaliśmy nieraz, ale że knieja była gęsta, tak, że trudno było dalej widzieć jak na 50 kroków, ciche podchodzenie zaś przedstawiało wielkie trudności, więc słyszeliśmy zawsze tylko łomot uciekających łosi, ale nigdy nie mogliśmy ich dojrzeć. To też tylko ptactwo kniejowe stanowiło moją zdobycz.

Dnia 14. września wieczorem wróciłem do Namzos, odpocząłem jeden dzień, i dnia 16. wyruszyłem do mojego właściwego rewiru Gartlandu. Stanąłem tam o 7-ej godzinie wieczorem. Ponieważ zaś cały dzień deszcz mnie moczył, więc przyjemność niemałą sprawiła mi wyborna kwatera, i zdrowa, gorąca wieczerza.

Nazajutrz o 7-ej rano byłem już w kniei. Zrazu rosił jeszcze deszcz, wkrótce jednak wyjaśniło się niebo i pogoda była cudowna. Znaleźliśmy świeże wytłoki, a postępowanie

mego przewodnika przekonało mnie, że mam do czynienia z człowiekiem, który zna się wybornie na łowach tego rodzaju.

Do południa szliśmy za tropem, gdy wtem towarzysz mój, idący przodem, przykucnął. Podsunąłem się i ja ostrożnie, i ujrzałem o jakie sto kroków w dole spoczywającego łosia. Niestety, była to klempa, nie chciałem więc strzelać, co się mojemu przewodnikowi wcale nie podobało. Klempa zoczyła nas, ale zdaje się nie umiała ocenić niebezpieczeństwa, gdyż leżała jeszcze chwilę spokojnie. Mogłem się jej tedy wybornie przyglądnąć, ale gdym zaczął próbować brać ją na cel, zerwała się na nogi, co znacznie prędzej poszło, niż się spodziewałem, i umknęła.

Następnych dni mieliśmy pogodę prześliczną, lecz polowaniu nie sprzyjała ona właśnie. Natrafialiśmy wprawdzie codzień na świeże wytłoki, lecz nigdy nie udało nam się łosia podejść. Zawsze dochodziliśmy tylko do legowisk, skąd już wyruszyły. Raz puścił mój przewodnik psa, tropowca i wkrótce rozpoczął się piękny koncert kniejowy, lecz łoś nie dał się wystawić. Widziałem w tym rewirze także głuszce, ale tak płoche, że na strzał nie można ich było podejść.

Nareszcie dnia 19. września zmieniła się aura; lunął deszcz z silnym wichrem. Ożywieni najlepszemi nadziejami, wyruszyliśmy z domu o wczesnej godzinie porannej. W południe przyszliśmy na świeży trop dwóch sztuk, widocznie byków. Domysł ten sprawdził się niebawem, gdyśmy natrafili na miejsca walki obu łosiów, zdeptane racicami i zasiane kłapciami sierci. Teren był okropny, tak, że wprawny zresztą pies przystawał ciągle i przewodnik musiał go miejscami brać na ręce. Nakoniec ujrzeliśmy łosie, ale zawsze jeszcze nie można było do nich strzelać. Ponieważ pies zaczął skomleć, pozostawiłem go w tyle wraz z przewodnikiem i podsuwałem się sam, ale łosie uchodziły coraz dalej, a wśród gęstego drzewostanu nie można ich było brać na cel zdaleka. Nie mogłem sobie nawet zdać sprawy, co to za sztuki, jak wielkie, aż nareszcie dojrzałem jednego z nich wyraźnie przez lukę między drzewami. Był to widłak. Przepuściłem go bez strzału w nadziei, że towarzysz jego będzie większy. Tak było w istocie, do niego zatem, gdy wszedł w lukę, zmierzyłem się i dałem ognia. Przez kłęby dymu widziałem tylko potężny skok, którym łoś uszedł poza grzbiet góry. Odległość mogła wynosić około 150 kroków. Rzuciłem się więc jak mogłem najspieszniej w kierunku strzału, aby módz jeszcze z drugiej lufki strzelić — lecz nie było już tego potrzeba. Sześć gramów prochu wywarły swój skutek: o 20 kroków od miejsca postrzału leżał łoś. Gdym się ku niemu zbliżał, zerwał się jeszcze na przednie nogi; przypatrywałem się przez chwilę temu obrazowi powalonego kolosu wśród dzikiej puszczy — a potem strzałem w szyję zakończyłem śmiertelną jego walkę. Nie był to byk bardzo wielki, miał rosochy anormalne o 6-ciu końcach. Czułem się mimo to szczęśliwy z tej zdobyczy i z dumą zatknąłem zieloną gałąź za kapelusz.

Najbliższe dni były bez rezultatu, upolowałem jedynie kilka jarząbków. Niebo wypogodziło się i nastała dawna zabawka: łosie wymykały się wcześniej, niżeśmy dojść do nich mogli. Tak trwało do 23. września, który nam znów deszcze przyniósł. Góry osnute były tak gęstą mgłą, że na sto kroków nie było już nic widać. Nadybywaliśmy wytłoki, ale nie świeże, gdyż pies nie wietrzył ich dobrze i gubił. Jakiś czas szliśmy za niemi, to znowu gubiliśmy, aż w końcu daliśmy za wygranę. Dość bezradni zatrzymaliśmy się na chwilę, aby coś przekąsić, gdy wtem padł mój wzrok na brzozę, na której były wyraźne ślady, że o nią byk rogi wycierał, a nieopodal znalazło się dość świeże legowisko łosia, od którego pies znów poszedł za tropem. Więc poszliśmy za psem i szliśmy tak aż do 5-ej godziny popołudniu; nareszcie zniechęceni i przemokli aż do nitki, chcieliśmy już całkiem dalszy pościg porzucić, gdy drugie świeże legowisko pokrzepiło w nas nadzieję, że przecież się z łosiem spotkamy. Wskazywał na to i pies, który począł się rwać na smyczy, widocznie węsząc zwierza w pobliżu. Poczęliśmy przeto podchodzić ostrożnie, pod wiatr, spuszczając się po stromej uboczy. Jakoż niebawem na 80 kroków w dole ujrzałem stojącego łosia. Przewodnik go nie dostrzegł, chwyciłem go więc za ramię i powstrzymałem. Przy pierwszym moim łosiu czułem jeszcze silną gorączkę myśliwską, teraz byłem już znacznie spokojniejszy. Wiatr szedł ku nam, łoś nie mógł nas zwietrzyć, mogłem przeto przez chwilkę obserwować zwierza, nie bojąc się, że mnie dostrzeże. Stał przy krzewie łoziny i spasał pędy grubości zwyczajnego ołówka, które mu widocznie bardzo smakowały. Ogryzłszy jeden krzak, posunął się ku drugiemu. Lecz teraz poczuł go już i nasz tropowiec i jął się niepokoić. Nie można więc było dłużej zwlekać, podniosłem strzelbę do oka i strzeliłem. Byk przewrócił się na miejscu, ale chwiejąc się, padał powoli, rzucił jeszcze kilka razy badylami i legł bez ruchu. Z powodu stromości góry nie mogłem zaraz podbiedz ku mej zdobyczy, posłałem więc przewodnika ubocznym przesmykiem na miejsce, sam zaś stałem gotów do drugiego strzału, gdyby tego było jeszcze potrzeba. Gdy przewodnik był już na dole, puściłem się i ja za nim, a doszedłszy do łosia, postawiłem strzelbę pod drzewem, i oglądając rosochy, obróciłem łeb mej zdobyczy. W tej chwili zabłysła jeszcze jakaś iskra życia w powalonym kolosie, rzucił się, zerwał się na nogi i chwiejąc się, uszedł kilka kroków. Poskoczyłem do mojej strzelby, ale nim zdołałem strzelić, padł łoś ponownie, tym razem już całkiem bez życia.

Podczas gdy w tym rewirze polowałem, odjechali już łowcy z sąsiednich rewirów, kapitan Juell dał mi więc i te rewiry do dyspozycyi i przysłał mi nazajutrz drugiego przewodnika, co mi było bardzo na rękę, gdyż pierwszy przewodnik musiał się zająć przetransportowaniem ubitego łosia. Lecz niestety łowy moje w następnych ośmiu dniach były bezskuteczne. Spotykaliśmy wprawdzie tu i ówdzie wytłoki, raz nawet podeszliśmy łosia dość blisko, lecz strzelać nie było można. Gdy nareszcie już i tropów świeżych nie było można znaleść, udałem się do miejscowości Fiscum, która z Namzosem telefonicznie jest połączona, i wynurzyłem kapitanowi telefonem moje żale. Kapitan był gotów dać mi natychmiast inne rewiry do dyspozycyi, ale radził, aby na razie dać spokój łosiom i udać się na pardwy śnieżne w niedaleki rewir, to uspokojone łosie znowu się znajdą. Ponieważ jednak cały dzień miałem przed sobą, więc wyruszyłem jeszcze raz na łosie.

Tym razem dopisały mi łowy. Zaraz na wstępie zdybaliśmy świeże wytłoki, a idąc za niemi, doszliśmy niebawem do klempy z cielęciem. Przyrzekłem mojemu przewodnikowi, że tym razem będę już i do klempy strzelał, lecz nie mogłem tego przenieść na sobie, ażeby ją od cielęcia odstrzelić i dlatego puściłem je bez strzału. Szliśmy tedy dalej i po dwóch godzinach, posuwając się wzdłuż gęsto zalesionej uboczy, zauważaliśmy, że pies nasz się niepokoi i mocno smycz naciąga. Poznaliśmy, trop niedźwiedzia. Jakoż przygotowywałem się już na spotkanie z mysiem, gdy idący przedemną przewodnik przykucnął i odwróciwszy się, zażądał szkieł. Nie chciałem mu dać lunety, wolałem sam przypeł-

znąć do niego jak najciszej, a spojrzawszy we wskazanym kierunku, rozpoznałem na jakie 120 kroków łosia, tj. zaledwo jeden punkt z niego i rosochy. Zoryentowawszy się, że widziany przezemnie punkt jest właśnie połciem czyli bokiem, zmierzyłem się i strzeliłem. Po strzale rzuciło się zwierzę, poprawiłem tedy drugim strzałem do łosia biegnącego między drzewa, poczem słyszałem jeszcze wielki łomot, aż wreszcie wszystko ucichło. Przewodnik był tego zdania, że strzał mój drugi dany był do tego samego łosia, gdym jednak wziął szkła do ręki, ujrzałem łosia leżącego na miejscu pierwszego strzału, a zatem łoś biegnący, do którego padł strzał następny, był drugim. Poszliśmy więc za tą drugą sztuką na dół i w istocie na miejscu strzału była obfita farba i sierć, a o dziesięć kroków dalej leżał drugi byk bez życia.

Łatwo pojąć jak byłem ucieszony tą nadzwyczajną dubletą. Wychyliłem też czarkę na trupa, poczem mój przewodnik zabrał się do wypatroszenia zwierząt. Z drugim łosiem mieliśmy pod tym względem nie małą trudność, tak się bowiem zaklinował między brzozę a głaz, że niopodobna go było na grzbiet obrócić.

Będąc pewnym, że sam odnajdę z łatwością drogę do kwatery, zabrałem od przewodnika moją torbę i dryling, i posłałem go do Fiscum, aby ludzi do transportu zwierzyny sprowadził.

Zadowolony bardzo wynikiem mych mozolnych łowów, postanowiłem zakończyć je wraz z tym dniem szczęśliwym, i nazajutrz opuściłem śliczną mą dolinę, udając się na pardwy śnieżne do odległego o dwie mile rewiru Homo. Pogoda nam sprzyjała, dzień był prześliczny. Polowania na pardwy odbywają się na t. z. fleldach, tj. na najwyższych nagich, moczarowatych halach, skąd ma się przed oczami cudowną panoramę górską na milowe odległości. Ciężko mi było na sercu, gdym ujrzał zdala mój rewir z łosiami, i brała mnie chętka jeszcze raz doń zaglądnąć. Lecz trzeba się było tego wyrzec, gdyż miałem jeszcze z powrotem tu i ówdzie zaglądnąć i brakło już czasu.

Polowanie na pardwy nie bardzo się powiodło. Pies nasz zakulał koło południa i trzeba było polowania zaprzestać. Pięć pardw ubitych — oto był cały wynik łowów. Całą moją zdobycz stanowiły: 4 łosie, 2 cietrzewie, 3 jarząbki, 6 pardw i jedna kaczka erdredonka. Wróciłem do domu przez Sztokholm i Kopenhagę i odbyłem tę podróż wśród prześlicznej pogody, która mi pozwoliła podziwiać urocze krajobrazy Skandynawii.“

ŻYWIENIE ZWIERZYNY ŁOWNEJ.

(Podług odczytu O. Heinikego).

(Dokończenie.)

Pożądaną odmianę w żywieniu zwierza łownego stanowi t. z. „owcza pasza“, pochodząca z suszonego liścia i gałązek drzew liściastych. Zastósowanie jej jest mianowicie tam wskazane, gdzie są młode lasy dębowe, kultywowane na korę garbarską, i gdzie obok kory, gałązki z liściem jako produkt poboczny można uzyskać. Również krzewy malin i ostrężyn, które leśnik tępi ze względu na szkodliwość ich dla porostu sadzonek na kulturach lub młodych samosiewek, mogą być na paszę owczą spożytkowane, gdyż liść ich, podobnie jak liść dębiny, ma znaczną pożywną wartość.

Czy i o ile przyjmuje zwierzyna chętnie suszony liść bzu dzikiego, w którym jest wiele wapna, nie mam dostatecznych danych i dlatego nie wciągam go tu jako stały składnik owczej paszy. To jednak pewna, że pączki liściowe bzu czarnego spasa chętnie zwierz łowny i w porze zimowej.

Pożądanym dodatkiem do siana lub owczej paszy są: dzikie kasztany, żołądź, bukiew, buraki, owoce, opadające z grusz i jabłoni przed dojrzeniem, jagody jarzębiny i inne. Używając karmy tego rodzaju i zmieniając ją stosownie, możemy zwierzynę wybornie przezimować.

Aby zwierza w jesieni do podawanej żywności przyzwyczaić, należy rozpocząć od snopów owsa. Chętnie schodzi się do nich zwierzyna; należy też w ciągu całej zimy od czasu do czasu owies w snopach podawać, bo to pasza zdrowa i posilna dla wszelkiego zwierza. Skoro się już zwierzyna do karmy przyzwyczai, należy ilość owsa zmniejszyć i podawać tylko same ziarno, łącznie z grochem, kukurydzą a także z hreczką. Ziarno to sypie się w żłobki, umieszczone pod drabkami ze sianem, przyczem trzeba uważać, aby żłobek tak od drabek był oddalony, iżby rogacz nie plątał się w nich rożkami. Dla jeleni najlepiej jest urządzać żłoby na ziarno osobno, a nie w związku z drabkami na siano.

Skoro zwierzyna przyzwyczaiła się do fosforanu wapna w lizankach, to można bezpiecznie posypywać i ziarno fosforanem wapna, a zwierz spożyje go łatwo wraz z ziarnem. Przyprawa ta wpływa w wysokim stopniu — jak to już powiedziano — na wykształcenie parostków, gdyż w porze, w której kozioł rogi zrzuca i nowe dostaje, najtrudniej mu o ów cenny materyał w paszy, której mu przyroda zimowa dostarcza. Jakoż podsuwanie mu fosforanu wapna w sposób sztuczny ma tu nie małą doniosłość. To też wspaniałe i silne parostki, któremi myśliwy izbę swą przyozdabia, są dlań najmilszą nagrodą za starania, jakich przy karmieniu zwierza dołożył.

Dla karmy zimowej ważną jest jeszcze znana roślina strączkowa, żarnowiec miotłowy (*Spartium scoparium*). Tworzy on krzewiny zbite o silnych, sztywnych gałązkach, których śnieg nie ugina, wysterczają przeto ponad jego powierzchnię i stanowią paszę, którą zające i sarny z lubością obgryzają. Gdzie zatem da się żarnowiec rozmnażać, należy to czynić. A nie jest on wybredny, szczególniej na gruntach piaszczystych i w lasach niezbyt ciemnych bujnie się rozrasta, a ziarna jego kiełkują z wielką łatwością. Kuropatwom, bażantom i zającom daje w lecie wyborne schronienie.

Podobne zalety jako karma i ochrona dla zwierzyny, ma także drugi krzew dość pospolity, tj. janowiec kolący, (*Ulex europeus*), a jako karma ogólnej doniosłości są jarzębina i dziki kasztan, których w lasach brakować nie powinno, jeśli idzie o dobre przezimowanie zwierzyny. Owoc jarzębiny i kasztan gorzki są przysmakami zarówno dla sarn jak i dla jeleni, a odgrywają w danym razie rolę pożądanej dla nich medycyny. Pod każdą jarzębiną można w zimie znaleść liczne tropy sarn; wyszukują one jagody zrzucone przez żerujące ptactwo i spożywają je z chciwością. Więcej oczywiście usługi oddajemy sarnom, jeśli oberwiemy całe grona dojrzałej jarzębiny i wysuszone podamy wraz z ziarnem do żłobków. To samo odnosi się do kasztanów, które zbierać i z inną karmą podawać należy, gdyż zasypane głębszym śniegiem pod drzewami, stają się dla zwierzyny nieprzystępne.

Wspomnieć jeszcze wypada o ścinaniu osiczyny, iwiny i innych drzew, których pąki a oraz kora są przydatnem dla zwierza pożywieniem. Rozumie się, że nie należy i w zimie zapominać o lizankach, nietylko ze względu na fosforan wapna, ale jeszcze więcej na sól, która w zimie dla regulowania trawienia bardzo jest zwierzynie potrzebna.

* * *

Mamy jeszcze kilka uwag do powyższych przepisów i rad Henikego.

Są myśliwi i leśnicy, którzy oponują przeciwko zbyt szeroko stosowanemu żywieniu sztucznemu zwierzyny łownej, twierdząc, że sztuką nie da się nigdy zastąpić tego, czego natura sama zwierzęciu nie dostarczy. Zgodnie z tem są za ograniczaniem podawania suchej karmy w ciągu zimy, a radzą dokładać wszelkich starań, ażeby w kulturze samych lasów dostarczyć rozmaitości pożywienia zwierzętom łownym, i tak np. w zwartych, wysokopiennych lasach szpilkowych poświęcać pewne parcele na niskopienne zagajniki liściaste z krzewami owocowemi, miłemi zwierzynie i t. d. Przeciwko forsownemu żywieniu suchą paszą sztuczną przytaczają, że niejednokrotnie, gdy zwierzyna pada, widać padłe sztuki w pobliżu tryzubów i wyciągają stąd wniosek, że widocznie sztuczna pasza nie idzie im na zdrowie.

To prawda, że nieraz znajdywano zdechłe, wycieńczone sarny tuż przy obfitej paszy sztucznej, lecz powodu, dla którego się to dzieje, należy szukać głębiej — w tem mianowicie, że pasza sucha bywa zwierzynie zazwyczaj za późno do lasu wywożoną. Chcąc, aby szła ona na zdrowie zwierzynie, należy nie czekać z nią do ostatniej chwili, wtedy, gdy już śnieg wszystko zasypie, lecz rozpocząć żywienie już w jesieni, małemi ilościami, i stopniowo przyzwyczaić zwierzynę i do odszukiwania miejsca karmy, i do spożywania tejże. Gdy w zimie zgłodniała sarna do sztucznej karmy się przyczepi, następują prawie w regule zaburzenia w trawieniu, ustala się biegunka, następuje wycieńczenie i śmierć — podczas gdy zwierzę stopniowo do sztucznej karmy przyzwyczajone, bardzo ją dobrze znosi i ciała znacznie nabiera. Jeżeli więc uznamy za regułę, że późno rozpoczęte sztuczne żywienie raczej szkodzi, niż pomaga zwierzynie, to znajdziemy miarę właściwą do ocenienia skutków sztucznego żywienia i ochronimy się od porywczego potępiania.

Rozumie się jednak samo przez się, że starania o rozmaitość karmy naturalnej, przez chronienie pewnych drzew i krzewów w kulturze leśnej, których leśnik ze względu na małą rentowność nie lubi, ale za któremi zwierzę przepada — pozostaną zawsze wymogiem pierwszorzędnym dla każdego, który w kniei swej obfitą chce mieć zwierzynę.

Na tem kończymy nasze uwagi, będące tylko pobieżną notatką. Głównym ich celem jest przypomnienie łowcom przed zimą najważniejszego ich obowiązku i poruszenie sprawy, zasługującej zaiste na to, ażeby się nią więcej niż dotąd w kołach łowieckich zajmowano.

KORESPONDENCYE.

Lwów, dnia 1. listopada 1894.

(Lisowickie łowy.)

Raporta tegoroczne o stanie zwierzyny brzmiały bardzo pomyślnie, tem bardziej, że w ostatnim tygodniu przed wyjazdem naszym do Lisowic, przyszła elektryzująca wiadomość, iż zjawił się niedźwiedź w naszych rewirach. „Mały, bo mały, ale zawsze niedźwiedź“ — pisał do mnie tropiciel nasz, Parandziej. — W powiedzeniu tem jest całe studyum duszy myśliwego, tak skłonnego nie tyle do przedstawienia przed sobą samym, ile przed drugimi rzeczy w świetle różowem i zawsze trochę, jeżeli nie bardzo, przez powiększające szkło. Ileż to razy słyszymy frazes: na tem lub owem polowaniu zabiłem dzika, rysia, ba nawet niedźwiedzia wówczas, kiedy dzik był prawie srokatym warchlaczkiem, ryś kocięciem, które ledwie przewidziało, a niedźwiedź małym piastunem, któremu matkę odstrzelono. Fachowiec myśliwy czasami zapyta: jak owa ubita sztuka gatunkowo wyglądała, ale dla ogółu pytających dzik dzikiem, ryś rysiem, a niedźwiedź niedźwiedziem zostanie. Parandziej nigdy jeszcze nie złożył fałszywego raportu, prawdomowność więc jego nakazała mu zrobić ów dodatek, „że mały,“ ale dla Panów zawsze to będzie niedźwiedź.

Po przyjeździe naszym do Lisowic, raport o bytności młodocianego mysia był nam potwierdzony, z tym jednakże przykrym dodatkiem, że bardzo niespokojny, ciągle łazi, nigdzie nie zalega i obtropienie a szczególnej obcięcie go w miocie prawie niemożliwe. I rzeczywiście przekonaliśmy się, że wszystko to było prawdą, bo biorąc najniemożliwsze mioty w przypuszczeniu, że go przecież gdzieś przychwycimy, spotykaliśmy tropy, nawet niezbite i świeże dowody strawności żołądka mysia, ale z jego osobą nikt się nie spotkał. Pożegnaliśmy się z nim zatem platonicznie, wyrażając nadzieję, że wyszedłszy z lat dziecięcych jako podrostek, odwiedzi nasze knieje, a zyskując na równowadze ducha i straciwszy ów niepokój, który go tego roku charakteryzował, łatwiej da się obtropić przez Parandzieja i wyprowadzić przed lufkę myśliwego. Zdaniem mojem musiał to być

niedźwiadek, któremu w sąsiedniem Skolu na polowaniu, urządzonem dla arcyksięcia Leopolda, odstrzelono matkę, czegoby dowodziła owa niezaradność i łażenie bez końca.

Dzików jak na jesień zastaliśmy sporo i w dosyć oryginalny sposób, bo wyjąwszy w jednym wypadku, w którym mieliśmy lochę ze stadkiem warchlaków, wszystkie sztuki ubite wychodziły pojedyńczo i były porozrzucane we wszystkich miotach. Aleksander Hulimka ubił niezwykle wielkiego odyńca, który ważył 225 kilogr. i przedstawiał zupełnie odmienny typ od dzików, z któremi się zwykle spotykamy w lisowickich kniejach, szalona bowiem długość jego i obwód, dowodzące pochodzenia nizinnego, odróżniały go od suchych karaskowatych górali, które tutaj królują.

Mieliśmy także przykład twardości dzika i potwierdzenie faktu, jak dalece staremu odyńcowi wierzyć nie można nawet po śmierci. Na St. Piegłowskiego wyszedł odyniec, a ugodzony expresową kulą runał i na miejscu pozostał. Wprawdzie wyprawiał różne sztuki, któreby go więcej kwalifikowały do cyrku Sidolego niż na poważnego reprezentanta rodu dziczego, ale faktem jest, że wszystkie swoje młyńce i koziołki wyprawiał nie ruszając się z miejsca, tak dalece, że Piegłowski nie uznał za stosowne i potrzebne drugą kulą położyć kres tym ćwiczeniom. Nareszcie i te ustały i odyniec leżał zabity. Nagonka się zbliżyła, i w chwili, kiedy chłopcy zaczęli się zwoływać, żeby go wyciągnąć na linię, odyniec zerwał się na równe nogi i z rykiem, którego jeszcze w życiu nie słyszałem, a który dalszych myśliwych dy tego stopnia poruszył, że myśleli, iż niedźwiedź jest w miocie, najprzód kłusem, potem galopem przedefilował przed linią naganki, nakoniec przebił się przez nią i... tyleśmy go widzieli. Dwudniowe poszukiwania za zbiegiem nie doprowadziły do żadnego rezultatu i wszystko każe przypuszczać, że odyniec zdrów, wesół i dobrze mu się powodzi.

Od bardzo dawna pierwszy raz natrafiliśmy w Lisowicach na bardzo piękny ciąg słonek. Może cyfra ogólna ubitych nie wyda się bardzo wielka, ale to się łatwo da wytłómaczyć, skoro powiem, że przeważnie wszyscy strzelamy z drylingów i ciężkiej kniejowej broni, która nie zawsze pomaga do szybkiego i zwinnego strzału, a oprócz tego słota i prawie codzienny deszcz, zmuszający nas do noszenia rozmaitego gatunku płaszczów i kapturów, nie bardzo dodatnio wpływały na celne sztrzały do długodziubów.

Przed ostatecznem podaniem listy ubitej zwierzyny, nie mogę pominąć małego fakciku, świadczącego o zajadłości jastrzębia gołębiarza. W jednym z miotów pędzonych wyleciał na linię myśliwych na bardzo znaczną odległość gołębiarz, trzymający coś wielkiego w szponach. Myśliwi przywitali go bezskutecznie 6-ma strzałami, po których najspokojniej poleciał do przeciwległego miotu, nie wypuszczając ze szponów swej zdobyczy. Wzięto następnie ten miot i gołębiarz znowu się pokazał, ale tym razem już na możliwy strzał. Po dwóch jeszcze chybionych strzałach dopiero za trzecim celnym spadł na ziemię i wypuścił ze szponów świeżutką słonkę, którą prawdopodobnie w pierwszym miocie schwytał i ledwie miał czas trochę z pierza oskubać.

Ogólny wynik polowania jest: dzików 18, lisów 51, rogaczów 26, zajęcy 48, jarząbków 28, słonek 67. kuny 2, sowy uralskie 3, jastrzębie 3, — razem sztuk 246, strzałów 643. Polowaliśmy dni 11, ale dodać muszę, że 2 dni zeszło nam na bezskutecznych poszukiwaniach za niedźwiedziem. *Stefan Szembek.*

Korszów, w październiku 1894.

(Sprawozdanie dotkniętego korespodenta.)

Szanowna Redakcya „Łowca“ zarzuciła nam, braciom w św. Hubercie, że chyba atrament wysechł nam w kałamarzach, skoro od dłuższego już czasu żadnej o sobie nie dajemy wieści. I ja też czuję się tym zarzutem dotkniętym, tem bardziej, że rokrocznie wiele, bardzo wiele tego czarnego płynu zużywam i na brak jego nigdy dotąd użalać się nie mogłem. Postanowiłem tedy odezwać się do naszej braci za pośrednictwem „Łowca“, a to tem bardziej, że tak rzadko zdarza mi się wyczytać w jego szpaltach choćby krótką jaką korespondencyę z Pokucia. Dziwić się istotnie wypada, że współmieszkańcy moi taki wstręt mają do pióra, wszak Pokucie to kraj żyźny, nietylko w kukurudzę lecz i w zwierzostan bogaty, i chyba mało która połać naszego ojczystego kraju poszczycić się może taką obfitością i rozmaitością zwierza, jak nasza podkarpacka ziemia.

Szybciej niż zwykle nastała u nas w tym roku głucha jesień. Kukurudza dawno już z pól zebrana, kartofle także już wykopane, gdzie spojrzyć w pole, szaro i pusto, gdzieniegdzie tylko zmęczone jednostajnością obrazu oko z lubością spoczywa na szmaragdowych pasmach ozimin. I wieje wiatr chłodny po szerokich, dziś już opuszczonych łanach Pokucia, podmuchami swemi od wzgórza do wzgórza roznosząc wieść o układaniu się przyrody do snu zimowego... Wdziera się i do kniei, a ogałacając konary drzew z ich pięknej ozdoby, żółtym kobiercem zaściela ziemię. Wypłoszony szumem opadających liści płochliwy zajączek pomyka w pole i hen, hen daleko wśród żółtawej ścierni pod komyszem przycupa, a położywszy słuchy po sobie układa się do spoczynku w kotlinie. Młody to i niedoświadczony zajączek, co go niewinny listek z drzewa spadający takiej trwogi nabawił; wybiegłszy w pole czuje się znów spokojnym i swobodnym, a z zapadnięciem zmroku wesoło kica w stronę najbujniejszej oziminy, zdrów i szczęśliwy, bo mu dotąd na niczem nie zbywa. Daleko smutniejszy od niego ten stary kopyra; jego już szelest liści nie przeraża, bo wie że mu żadnej nie wyrządzi szkody, przycupnąwszy u skraju lasu i czując w powietrzu nadciągającą zimę, a z nią złowrogie echa polowań, tych hekatomb wyprawianych na zgubę zajęczego rodu przez okrutnego człowieka — układa w myśli fortele, jakich użyć mu wypada, aby przez tę zimę swą skórę salwować, przemyśliwa nad tem, jak to kluczyć i tropy łamać będzie, gdy ochrypły głos tego nieznośnego Zagraja posłyszy, jak to nie ruszy przed nagonką, aż tych siepaczy na parę kroków od siebie ujrzy, a wtedy w mig pomknie poza linię nagonki tuż koło nóg starego pobereżnika Ołeksy... Koło niego mu najbezpieczniej, bo on kija ze sobą nie nosi, jeno pojedynkę, która nigdy nie wypala, a od którego z naganiaczy mógłby jeszcze kijem po grzbiecie dostać! Tak to jesienią duma biedny szarak, a równocześnie my myśliwi wśród długich wieczorów układamy plany przyszłych polowań i cieszymy się nadzieją spotkania na tem lub owem dobrze nam już znanem stonowisku.

W tym roku mamy istotnie piękne. widoki na zimowe polowania. Wiosna sprzyjała bardzo rozmnoży zajęcy, a polując z wyżłem pod koniec września na przepiórki, skonstatowałem, iż zajęcy jest nierównie więcej niż w roku zeszłym, i stan sarn mamy piękny, dziki tylko nie wiadomo czy dopiszą. Wprawdzie w lesie było ich wiele i znaczne wyrządziły szkody, ale to plemię koczownicze po zbiorach zaczyna swe zwykłe wędrówki i ściąga się do kniei górskich. Ptactwa, a zwłaszcza przepiórek w tym roku było mniej niż zazwyczaj; mimo dość skrzętnego za niemi poszukiwania, ledwo

około 70 sztuk zdołałem ubić. W Stanisławowskiem i Nadwórniańskiem było tak mało przepiórek, że wcale na nie nie polowano. Kuropatw jedno tylko stado znalazłem i to z bardzo spóźnionego lęgu, gdyż około 15. września jeszcze były tak małe, że je puściłem bez strzału. Kszyków za to na błotach okolicznych było sporo. — Słonki pojawiły się w ostatnich dniach września i to w niektórych miejscach jak w Chryplinie i Czerniejowie (pod Stanisławowem) wcale licznie. Porucznik Henryk Sanojca, co prawda jeden z najlepszych naszych strzelców, w przeciągu tygodnia ubił trzydzieści kilka słonek.

Polując dnia 9. sierpnia na ścierni, przedzielonej nieszeroką łąką i potokiem od pól sąsiedniego Michałkowa, byłem pod wieczór świadkiem zaciętej walki, stoczonej na owej łące przez dwa rogacze, które w szalonym pędzie wypadły z michałkowskiego lasu i pochyliwszy głowy kilkakrotnie z wielkim impetem na siebie nacierały, nie dalej jak na 200 kroków odemnie. W walce tej jeden z rogaczy uległ, bo dwukrotnie na ziemię powalony został, poczem zerwał się i popędził przez łan owsa w stronę lasu żukocińskiego. I zwycięzca ruszył za nim, ale już go nie atakował, lecz trzymał się w pewnej odległości, a w końcu zatrzymał się na pagórku. Co dalej się stało, nie widziałem, bo mi znikły z oczu, odniosłem jednak wrażenie, że to nieproszonego intruza wypędzono. Żałowałem bardzo, iż nie miałem wówczas przy sobie drilinga, gdyż oba rogacze miałem przez kilka minut na dobry strzał expresowy.

Jako przykład niesłychanie twardego dosiadywania zajęcy, posłużyć może następujące zdarzenie. Brat mój polując w Ottynii w połowie września na przepiórki i przechodząc bruzdą przez łan kukurudzy, potknął się, jak mu się zdawało, o jakąś grudę, odwróciwszy się jednak ze zdumieniem spostrzegł zająca, który w konwulsyjnych już drganiach rzucał się na ziemi. Ową grudą było nic innego jak tylko głowa biednego szaraka! Temu, ktoby mnie chciał posądzić o łacinę myśliwską, odpowiedzieć muszę, że zająca tego nietylko ja i mój brat ale i inni ze zdumieniem oglądali. Był to wprawdzie zając młody, ale spory już marczak.

W kniei dotąd nie polowaliśmy, więc nic więcej nie mam do zanotowania, a o rezultatach zimowych polowań nie omieszkam w swoim czasie zdać sprawę.

Leopold Łysakowski.

Wysuczka, 16 października 1894.

(Przepiórki — tępienie drapieżców — dziki, słonki i miłe wspomnienia.)

I ja nie mogę być obojętnym na nawoływania Szanownej Redakcyi, bo jestem szeregowcem armii św. Huberta, a choć czasu niewiele, jednak skoro jesień obrobiona, niech pługi ziemblę robią, niech sobie młocarnia warczy, niech ekonom czuwa nad oczyszczeniem kukurudzy — ja zabieram się do pisania. Lecz o czem tu pisać jeszcze w tej porze? Przepiórek bardzo mało w tym roku, cieszyłem się, że będzie ich wielkie mnóstwo, bo wielką ilość jastrzębi wron i srok wybiłem, lecz i to nie pomogło, bo jak mało ciągnie to i mało się bije.

Jastrzębie wybijałem na gniazdach, wybierałem im jaja i młode, łapię wielką ilość na żelazka (kapkany) i gdzie mogłem to je niszczyłem. Z początkiem maja dają mi znać, że w lesie blisko wsi jest gniazdo gołębiarza. Idę więc z gajowym i samicę ubiłem na gnieździe; na samca czekałem długo, lecz przeczuł widać niebezpieczeństwo, bo tylko nawoływaniem prosił naderemnie połowicę, aby mu się odezwała. Posłałem gajowego na dęba i ten wybrał 4 jaja z gniazda. Przyniosłem je do domu i kazałem pod kurę podłożyć. Po trzech tygodniach siedzenia przychodzi klucznica i raportuje, że jedno pisklę wylazło i zaczęło kwilić, a kura, usłyszawszy złowrogi głos, wstała na gnieździe, pierze najeżyła, patrzy pod siebie i jaja przegląda, a zobaczywszy piszczącego jastrzębia, wali dzióbem w łeb aż jastrzębia zabiła.

Taki był koniec polowań na jastrzębie, a teraz błogie oczekiwanie polowań na kuropatwy, których 25 par na wiosnę wypuściłem. Pora była tego roku sprzyjająca, pomimo to, oprócz jednego stadka, więcej ich nie widziałem, a powodem tego jest ogromna ilość lisów, które ściągnęły za myszami, w tym roku bardzo obfitemi. Byłem pewny, że lisy wybiłem i że z tej strony obawy nie ma, tymczasem któż przewidzieć potrafi co się stać może? Biedne kuropatwy i zające moje będą zdziesiątkowane. Nowa robota z lisami, zabieram się i do nich, niewiele ich dotychczas z bratem moim zabiłem, bo tylko 17, a jaka ich ilość jest, wystarczy powiedzieć, że w 4ech miotach widzieliśmy ich 15, ale że wypadały na strzelców, a nie na myśliwych, więc ci wspaniałomyślnie obchodzili się z nimi i wybiwszy Panu Bogu szybę, mówili im na drogę do widzenia. Dopiero na wielkiem polowaniu nie darują im myśliwi, gdy się zjadą.

Dzików jest wielka ilość w tym roku, szkody znaczne w polach i w kulturach leśnych wyrządzają, skargi też płyną do starostwa jak z rogu obfitości, a wszystkie wymierzone na pańską kieszeń, pomimo że ludek nasz wie dobrze o tem, że pan sam wielkie szkody ponosi i gdzie może i jak może bije te miłe stworzenia. To wszystko wszakże nie zmniejsza apetytu i ciągłego pragnienia wynagrodzeń szkód w brzęczącej monecie i otrzymania karty na broń, by pod pozorem straszenia dzików, siedzieć pod lasem i każdą kozę i zająca zoperować. Urządzanie obław rządowych ma tę dobrą stronę, że lud przestaje na jakiś czas się skarżyć. Nie można się dziwić, że się na takich obławach nic nie zabija, bo i jak można co ubić, kiedy chłop inaczej obławę pojmuje; u niego obława tyle znaczy, aby się obławić grzybami i orzechami, bo w innym czasie nie wolno mu bezkarnie po lesie chodzić, a podczas cesarskiego polowania (jak nazywają obławę), idzie każdy gdzie chce i jak chce, bo wie że dwóch żandarmów nie upilnuje 200 ludzi w nagonce. Do domów wraca 30 a 170 szukaj po lasach — i to jest nagonka przy obławie.

Słonki po chłodnych kilku dniach już obficie się pokazały i w tym roku prędzej ciągnąć zaczęły niż w inne lata. Niezapomniane dla mnie są chwile w Lisowicach, tam to na słonkach się użyło, lecz zgrzeszyłby ten, ktoby myślał, że nasz kochany prezes karmił nas temi specyałami tj. strzałami do słonek. Dziś, kiedy stosunki moje nie pozwalają mi dalej należeć do Towarzystwa, mile wspominam lat ośm spędzonych wśród tej karnej a tak doborowej drużyny myśliwskiej. Chwile wśród niej spędzone zaliczam do najmilszych życia mego; zapominało się tam na chwilę o troskach życia i uczyło, jakim myśliwy powinien być, aby go nazwano dobrym myśliwym. Żegnajcie mi towarzysze mili! Życzę wam, aby się wam zwierzyna na kamieniu rodziła, a mnie miejcie w miłej pamięci, jak ja was w sercu.

Czarkowski-Golejewski.

Z nad Wisły i Dunajca d. 6. listopada 1894.

(Nasze stosunki łowieckie.)

Nie mam wcale zamiaru podejmować ekspedycyę do źródeł Wisły i Dunajca, a potem posuwać się brzegami tych naszych pięknych rzek ze strzelbą w ręku, aby napisać z tej wędrówki korespondencyę do „Łowca.“ Ograniczam się jedynie na okolicach ujścia Dunajca do Wisły, tj. w ogóle na powiecie Dąbrowskim, i stąd przesyłam Wam kilka dat łowieckich.

Kłusowników tu moc wielka, ale w ostatnich latach ubyło ich nieco. Trafia się, że gorliwy żandarm, spotkawszy myśliwego, o którym przypuszcza, że paszport na broń zapomniał w domu, zapytuje o takowy, ale zato kłusownikiem nie wiele się troszczy, bo go o paszport pytać nie potrzebuje, wiedząc z góry, że go tam nie ma. Stąd kłusownicy mają jeszcze dość swobodną rękę w łowach na cudzą własność.

Zima bezśnieżna i łagodna oraz wiosna tegoroczna, dosyć sucha, podziałały zbawiennie na rozwój zwierzyny łownej w tych równiach, a przecież pomimo tak sprzyjających warunków stan zwierzyny miejscami pozostawia bardzo wiele do życzenia. Główną tego przyczyną jest nieobecność właścicieli, lub małe bardzo interesowanie się zwierzyną w polach i lasach.

Państwo Szczucińskie, rozciągające się nad Wisłą, posiada warunki nader korzystne do rozwoju wielu gatunków zwierzyny, bardzo rozległe kępy nadbrzeżne, urodzajne pola i dosyć znaczny kompleks lasów, pozwoliłby przy jakiej takiej opiece na podniesienie zwierzostanu. Ale wobec zaniedbania, stan zwierzyny był i jest jeszcze smutny. Na polowaniach ostatniemi laty, przy licznej nagonce i w kilkanaście strzelb, po całodziennej pracy w lesie, kępach i w polu, bywało na rozkładzie... 7 zajęcy i 2 lisy. Bo też dawniej o polowania gminne nikt się nie troszczył, wydzierżawiali je kłusownicy, a nawet kłusownicy towarzyszyli polowaniom dworskim — tylko poza granicami obszarów dworskich — i odstrzeliwali co się dało!

Dziś dopiero, kiedy klucz Szczuciński przeszedł w ręce tak zamiłowanego myśliwego, jakim jest książę Lubomirski, można żywić niepłonną nadzieję, że z tej pustki powstanie w kilku latach istny zwierzyniec, bo sarny, zające i kuropatwy mają tu bardzo dobre warunki rozwoju przez samą przyrodę dane, i dopraszają się tylko o trochę opieki.

Tuż za Szczucinem z biegiem Wisły rozciąga się teren, pokryty w dość znacznej części lasami, przegradzanemi urodzajną glebą. Wielka troskliwość o zwierzynę — systematyczne prześladowanie kłusowników — troska o karmę w zimie dla tak mało wymagającego inwentarza żywego — wreszcie tępienie szkodników czworonożnych i skrzydlatych, a oraz bardzo sprężysta administracya — wszystko to powoduje, że zwierzyna się rozmnaża i jest jej wielka obfitość... Do tych obszarów łowieckich z zadowalniającym stanem zwierzyny należą dobra Lubasz, Delastowice i klucz Mendrzechowski.

Co do klucza Mendrzechowskiego, należącego do hr. Andrzeja Potockiego, to wielka ilość lisów, tak w lesie Mendrzechowskim, jak w kępach nad Wisłą, nakazywałaby sądzić, że innej zwierzyny tam nie ma. Tymczasem lisy są tam żywione padliną i dlatego zbyt wielkich uszczerbków w zwierzynie pożytecznej nie robią. Trudno żądać, aby lis, zjadłszy kawałek konia, nie zapragnął na deser zajączka lub kuropatwy — no! — ale to tylko na deser!

Dalej rozciągają się dobra Jana bar. Konopki. Tu można śmiało powiedzieć, że został bogaty w zwierzynę rewir chyba z Czech do Galicyi przeniesiony, nie ma się bowiem do czynienia wyłącznie tylko z tem, co sama natura dała, ale z produktami hodowli zamiłowanego, troskliwego i z pełną znajomością rzeczy działającego właściciela. To też oprócz ogromnej ilości zajęcy, sarn i kuropatw, które ciągłą i wszechstronną opieką są otaczane, jest nader piękny stan bażantów, zupełnie dziko po lasach i polach rozmnożonych.

Bażanty tutejsze wymagają wielkiej troskliwości, nie tylko w żywieniu, ale i w tępieniu amatorów smacznego bażanta. Największym ich nieprzyjacielem jest lis, który jużto w kniejach Breńskich na nie poluje, jużto z sąsiednich a nawet dalej położonych lasów przywędrowuje, aby zapoznać się z takim specyałem, jakim jest kura bażańcia, siedząca na gnieździe, bo daje i jajecznicę i pieczeń odrazu. Ci przybysze jednak nie chwalą sobie gościnności bar. Konopki, bo zarządza na nich systematyczne polowania, uwieńczane zawsze dobrym skutkiem, a nadto daje wysokie premie, bo dochodzące do wysokości 5 złr. od sztuki za futerko smakosza i tem bażanty od jego drapieżności chroni.

Dalej ku Dunajcowi są obszary bezleśne, bardzo obfite w zające i kuropatwy, jak wsie Gorzyce, Zalipie, Niwki, aż po Dyament. W takich np. Gorzycach księcia Sanguszki ubijano w 5ciu godzinach 180 zajęcy i to nie wyjątkowo. Między Niwkami, Gorzycami a Dyamentem jest kompleks ogromny pól, bardzo ładnie położonych, zalewom nie podlegających, t. j. dobra Kłyż i Żelechów. W tych majątkach właściciele sami nie mieszkają, a dzierżawcom i rządcom ani w głowie dbać choć trochę o zwierzostan, więc też w każdej porze roku ogromne ilości psów i kotów włóczy się po polach, kłusownicy z pogonkami urządzają polowania, zakładają siatki, druty, sidła i t. d. i nikt nawet nie pomyśli, aby te piękne przybory pozdejmować i pozabierać. Takby już być nie powinno w dzisiejszych czasach, w okolicy tak zresztą dbałej o rozwój zwierzyny. Mimo tego jest tu jaki taki zwierzostan, oczywiście na koszt sąsiedniej okolicy, gdzie nadzwyczaj surowo ustawa łowiecka jest przestrzeganą.

Sam Dyament to oaza wśród pustyni, to rozkosz dla każdego lubownika zwierzyny. Park, okalający dwór wśród bardzo urodzajnych pól, jest specyalnie jako remiza urządzony, a sam właściciel to amator i znawca potrzeb zwierzyny jakich mało. Nie dziw zatem, że na aleach i ścieżkach parku ciągle widzieć i spotykać się daje to grupa zajęcy, czasem po kilkanaście sztuk razem, to igrające bażanty, to znów sznurkiem wzdłuż ścieżki cieknące stadko kuropatw, — nieraz zaś na łączce wśród młodej świerczyny pasące się sarny. Wszystko to jest dziwnie spokojne, bo instynktem odczuwa, że ich ktoś strzeże, ktoś kocha i nie da im nic złego zrobić. Czasem tylko lis chyłkiem wchodzi do tej pierwszorzędnej restauracyi — ale zaraz jest wytropiony na wysypanych piaskiem aleach i zaraz każą mu futrem płacić za nieproszoną wizytę. To trochę gorzej, niż we Lwowie u Gerarda, chociaż i tam czasem futro z człeka zdjęli...

Wieczorem z werandy dworu słyszeć można co dzień istny koncert wabiących się kuropatw i wzlatujących na nocny wypoczynek bażantów. Kępa do tych dóbr należąca nad Dunajcem, jak park utrzymana, z ścieżkami i drogami, stanowi na mniejszych polowaniach prawdziwą rozkosz myśliwską, taka jest tam obfitość i różnorodność zwierzyny.

Dalej nad Dunajcem, ku ujściu Dunajca do Wisły, ciągną się dobra Siedliszowickie, należące do ordynata Kwileckiego. Stan zwierzyny bardzo tam dobry, bo pełnomocnik dóbr sam jest zapalonym i racyonalnym myśliwym.

Z dawnych zabytków hrabstwa Załuskich, pierwotnych właścicieli, istnieje w Siedliszowicach zwierzyniec nad brzegiem Dunajca, osztachetowany, lecz niestety zawiera same daniele. Jest ich około 40 sztuk, dobrze się trzymają i rozmnażają, lecz jedyny z nich pożytek jest ten, że owoce z niebotycznych kasztanów w parku i zwierzyńcu rosnących, które służba dla nich zbiera, przez zimę zjadają. Czasem kilka psów się wedrze poza sztachety zwierzyńca, a wtedy spłoszone daniele nawet wpław przez Dunajec się puszczają. Dużo ich nazad do zwierzyńca wraca, bo im tam dobrze, lecz niejeden znajdzie amatora z powiązaną kabzlówką.

Z lewej strony Dunajca stan zwierzyny jest znacznie gorszy, a przyczyną tego jest jedynie brak troskliwości ze strony właścicieli, nie mieszkających na miejscu. Tylko w lasach br. Konopki w Wietrzychowicach zwierzostan jest prawie zadawalniający, dzięki dozorowi i opiece, lecz usiłowania jednostki w obec obojętności ogółu, nawet na terenach wyjątkowej opiece podlegających, do zbyt świetnych rezultatów doprowadzić nie zdołają. Oto obrazek stosunków łowieckich w tym zakątku mazurskiej ziemi. *Piotr Treter.*

Sprawozdania łowieckie.

— W lasach Tuszowskich, majątku państwa Zdzisławów Włodków, odbyło się w dniu 13. października r. b. małe polowanie, na którem ubito: 3 dziki, 5 rogaczy, 3 lisy, 12 sztuk zajęcy, 1 słonkę i 2 jarząbki — razem 26 sztuk. W polowaniu wzięło udział tylko trzech myśliwych. W kilku miotach, w których się dzików spodziewano, nie strzelano do innej zwierzyny, inaczej zezultat byłby jeszcze lepszy. — Wynik ten i spotkanie się na szarej stopie z dzikami zawdzięczaliśmy głównie okoliczności, że polowanie prowadził tak doświadczony i wytrawny myśliwy, jakim jest nadleśniczy tamtejszy, p. W. Hetper. Pod jego umiejętnym i energicznym kierunkiem nagonka szła wzorowo, i zawsze mimo trudności, długich miotów, przez gęste zagaje wypędzała zwierzynę na krótką linię strzelców.

Pobyt w tej ślicznej kniei, ilość i rozmaitość zwierzyny, sprężystość i ład w prowadzeniu polowania, stanowiły dla myśliwych wielką przyjemność, której nie prędko zapomną.
J. G.

— W rewirach Krakowieckich, należących do hr. Kazimierza Łubieńskiego, polowaliśmy dnia 29., 30. i 31. października w ośm strzelb. Ciągły deszcz przeszkadzał łowom w dotkliwy sposób, jednak mimo deszczu i licznych pudeł, znalazło się na rozkładzie 13 kozłów, 5 lisów, 49 zajęcy, 1 cietrzew i 4 słonki. Niezwykła uprzejmość i gościnność gospodarza, rozmaitość zwierzostanu i wzorowe prowadzenie łowów pozostawiły w umysłach uczestników jedno z najmilszych wspomnień z sezonu jesiennych polowań.
A. Przedrzymirski.

— W Woli Małnowskiej, u p. A. Przedrzymirskiego, odbyła się dnia 20 października małe polowańko w 7 strzelb. Ubito 10 lisów, jednego kozła, 7 zajęcy, jednego borsuka, 3 słonki i 8 kuropatw.

— W Nisku, w dobrach p. J. Komorowskiego, odbyło się w dniach 3-go i 5-go bm. polowanie w 21 strzelb, na którem ubito 315 zajęcy, 22 rogaczy, 5 lisów i cietrzewia. Tak znaczną liczbę zajęcy, jakiej dotąd w lasach tych nie bywało, przypisać należy racyonalnej gospodarce leśno-łowieckiej właściciela.

— W Odrzechowskich lasach, w powiecie sanockim, własności p. Morawskiego, ubito d. 20. sierpnia jelenia, nieregularnego dwunastaka. Druga, mniejsza sztuka, ubitą została d. 6. września. Knieja odrzechowska, przed kilkunastu laty całkiem pusta, zaczyna dzięki staranności fachowego leśnika, który nią zarządza, p. K. Starzeckiego, zapełniać się znowu łowną zwierzyną. *M. M.*

— W Hoszańskiej kniei, słynnej z obfitości lisów, odbyło się d. 3. listopada doroczne polowanie w 17 strzelb. Dobra sława tej kniei i tym razem nie zawiodła grona zaproszonych myśliwych, gdyż w niespełna pięciu godzinach padło około 80 strzałów, a w rezultacie znalazło się na rozkładzie 3 kozły, 18 lisów i 18 zajęcy t. j. okrągło sztuk 40. Prócz tego jeden rogacz i kilka lisów uszło bądź postrzelonych, bądź spudłowanych. Nie czynię już szczegółowych wzmianek o wzorowem prowadzeniu polowania przez młodego gospodarza, ani też o prawdziwie ciepłej gościnności Hoszańskiego dworu, bo te zalety Hoszan aż nadto są znane i żyją w tradycyi i czynie. To też polowanie w Hoszanach stanowi zawsze epokę w sezonie i pozostawia niezatarte wspomnienie w umysłach i sercach szczęśliwców, którym dano polować w tem lisiem Eldorado, gościć w tej arce, niestety coraz rzadszych cnót staropolskich. *A. P.*

KRONIKA.

Szanownym korespondentom naszym najserdeczniejsze składamy dzięki. Dali dowód, że ani im atramentu, ani humoru, ani wiadomości z dziedziny łowiectwa nie brakło. Najmilszem zaś dla nas jest w tem wszystkiem to, że pamiętają o „Łowcu“ i że mu zawsze, jak dawniej, są życzliwi. Prosimy więc i nadal o tę życzliwość i wiadomości, choćby jak najkrótsze z polowań kniejowych, pragnęlibyśmy bowiem w sprawozdaniach łowieckich dawać o ile możności jak najpełniejszy obraz myśliwstwa w całym kraju.

Wyjątkowy zając. „Maleńkiego zajączka — opowiada jeden z właścicieli ziemskich — złapano w polu i przyniesiono mi do domu. Żywiono go najprzód mlekiem, potem rozmaitą zieleninką. Podrósłszy trochę, stracił młody kopyra swą przyrodzoną bojaźliwość, wychodził ze swego legowiska, kładł się pod piecem i wyciągał skoki na wzór psa. Gdy się obcy jaki pies do niego zbliżył, nie uciekał wcale, lecz owszem sam psa atakował, skacząc mu przez głowę i bijąc go skokami po mordzie. Atak tego rodzaju konsternował psa niesłychanie; wziąwszy ogon pod siebie, uciekał przed kopyrą. Szarak tak się nareszcie uzuchwalił, że raz obcemu człowiekowi — a zwykł był to czynić domownikom — wyskoczył na kolana i kawałek placka z kieszeni mu wyciągnął. Okazała się przytem i inna ciekawa anomalia u tego bohaterskiego szaraka. Oto próbował się w rozmaitego rodzaju pożywieniach, obok surowej kapusty jadał i gotowaną — co więcej, odważył się nawet wypić filiżankę kawy z bułką na śniadanie, a nie gardził także kluseczkami z masłem. Najciekawszem wszakże było to, że urodzony ów gryzoń jadł w końcu słoninę, kiełbasę, i mięso

jak pierwszy lepszy mięsożerca, i z niesłychaną dokładnością ogryzał swemi potężnemi siekaczami kości swych... współplemienników."

Nie wnet chyba zjawi się znowu taki wyjątkowy kopyra!

W Czechach ubito w r. 1893, wedle wykazów urzędowych: 2.516 jeleni, 1.804 danieli, 14.446 kozłów, 915 dzików, 602.285 zajęcy, 37.236 królików, 1.124 głuszców, 5.456 cietrzewi, 401 jarząbków, 75.814 bażantów, 675.547 kuropatw, 49.612 przepiórek, 2.174 słonek, 480 kszyków, 334 dzikich gęsi, 13.690 dz. kaczek, 2.434 lisów, 3.235 kun, 13.047 tchórzów, 489 wyder, 457 borsuków, 2.708 łasic, 156 puhaczy, 27.408 jastrzębi, sokołów, kani itd., 34.727 srok i wron.

Szkoła dla rusznikarzy. W Ferlachu, miasteczku Karyntyi, znanem z dawna z wyrobów rusznic, zwanych: „ferlachówkami," istnieje od kilku lat rządowa szkoła dla rusznikarzy. W ubiegłym roku liczyła ona 25 uczniów zwyczajnych, i 4 hospitantów. W b. roku rozszerzył się ten zakład i został we własnym budynku pomieszczony.

Biała pantera. Jeden z magnatów ofiarował paryzkiemu ogrodowi zoologicznemu przepyszny okaz białej pantery, schwytanej na płaskowzgórzach Pamiru. Pantera ta jest jedynym i bodaj że pierwszem tego rodzaju okazem w Europie.

Dwa pelikany pojawiły się w Niepołokowcach nad Prutem. Jednego ubito, drugiego postrzelono w nogę i schwytano żywcem. Znajduje się w Oszechlibach. W Myszynie nad Pistyńką, ubito także pelikana. Szerokość rozpostartych jego skrzydeł wynosi 3 metry, długość dzióba 52 centymetrów.

W Namzos, w kniejach górskich Norwegii, dokąd cudzoziemcy na łosie przyjeżdżają, ubito w r. 1889 łosi 43 i 2 niedźwiedzie, w r. 1890 łosi 51 i 1 niedźwiedzia, w r. 1891 łosi 76, i 2 niedwiedzie, w r. 1892 łosi 40 i niedźwiedzia, nareszcie w r. 1893 łosi 71, niedźwiedzia, 2 rysie i wilka.

Na Węgrzech. w Karpatach marmaroskich, około Borsy, urządzono tej jesieni polowanie na niedźwiedzie ze skutkiem bardzo dobrym. W pierwszym miocie padły dwa niedźwiedzie, w drugim widziano mysia, który uszedł niestrzelany, w trzecim ubito sztukę dużą, dwa mniejsze zdołały się wymknąć.

W rewirze Fasco, na granicy komitatu Neutrańskiego, padł niedawno temu niedźwiedź, ważący przeszło 100 kilogramów.

W lasach munkackich padło tej jesieni 28 jeleni, między temi 1 ośmnastak, 3 szesnastki, 9 czternastaków, 6 dwunastaków, 6 dziesiątaków i 3 ósmaki.

Łowy przy księżycu bywają zawsze, jak wiadomo, niepewne, a częstokroć bardzo niebezpieczne. Odstraszającym tego dowodem jest przygoda księcia Aleksandra Hohenlohe-Schilingsfürst, w okolicach Wilna, przy polowaniu na łosie, o której niedawno rozmaite pisma wiadomość podały, donosząc, że książę dwóch ludzi postrzelił. Otóż książę, broniąc swego myśliwskiego honoru, zamieszcza w *Jagd Ztg.* szczegółową relacyę z tego polowania, która jest w istocie bardzo ciekawą.

Książę dzierżawi prawo polowania w okolicy Wilna w lasach, mających około 60—70.000 morgów rozległości. Dnia 10. września wybrał się wieczorem na podjazd na łosie w towarzystwie strzelca i leśnego, który umiał wybornie wabić łosie. Trzeba zaś wiedzieć, że wabienie to odbywa się nietylko głosem na rogu z kory brzozowej lecz także łamaniem i łomotem gałęzi, tj. naśladowaniem ciężkiego chodu łosia. Mistrzów w tej sztuce posiada jeszcze Litwa pomiędzy starymi leśnikami i jeden z takich właśnie towarzyszył księciu.

Jakiś czas podjazd był bezskutecznym, dopiero koło pół do 8, gdy już zmrok zaczynał zapadać, usłyszał książę dobrze sobie znane ale odległe rżenie łosia. Posunął się więc w tym kierunku, i leśny jego wabił, ale nic na to wabienie się nie zbliżało. Tak zeszło aż do nocy, gdy jednakże księżyc w pełni nad brzeg lasu się wychylał, postanowił książę nie przerywać dalszego podjazdu i próbować szczęścia przy świetle księżycowem.

Idąc tedy dalej, przyszli na skraj lasu, między rzadsze krzaki i ujrzeli przed sobą moczarek, z poza którego rżenie łosia ich dochodziło. Dalszy podjazd bez wszelkiej zasłony okazał się niemożliwym, postanowili tedy zwabić łosia ku sobie, a towarzyszący księciu leśnik prześcigał sam siebie, aby tylko łosia zbałamucić. Istotnie udało mu się, bo na każde wabienie słychać było odpowiedź ze strony przeciwnej, i głos ów zbliżał się coraz bardziej, ale nie środkiem moczarka, tylko brzegiem otaczającego go lasu, tak, że rżącego łosia nie można było wziąć na oko. Niebawem wszakże ozwało się rżenie, niedalej jak na 20 kroków i wśród krzaków zarysowała się czarna masa, którą nietylko książę, lecz i jego towarzysze wzięli za łosia na sztych stojącego. Wówczas książę zmierzył się i strzelił, a gdy łoś nie padł, strzelił jeszcze dwa razy. Ale po ostatnim strzale usłyszał wprost przed sobą szeptanie głosów ludzkich. Nastąpiły tedy wyjaśnienia. I cóż się pokazało?

Oto przedmiotem, do którego książę strzelał, nie był wcale łoś, ale właściciel sąsiedniej i tu właśnie graniczącej kniei, bar. Vietinghoff, który tegoż samego wieczora wybrał się po raz pierwszy również na łosie i miał także wybornie wabiącego leśnika. Podchodzono się tedy i oszukiwano wzajemnie, a że to wszystko działo się w krzakach i w złudnem świetle księżyca, obie więc strony gotowe były do strzału i przypadkiem tylko uprzedził książę Hohenlohe swego sąsiada, biorąc go na cel.

Lecz Pan Bóg szczęśliwie kule nosi, i przeszkodził i tu wielkiemu nieszczęściu. Pierwsza kula księcia wyrwała baronowi trzy patrony z pasa i odbiła się o zegarek — druga przestrzeliła mu odstającą połę surduta — trzecia zaś zmiotła pochylonemu leśnikowi kawałek wąsa... Wyszli więc wszyscy cało, ale nabrali zapewne przekonania, że polowanie przy niepewnem świetle księżyca jest koniec końców szaleństwem.

Nieszczęśliwy wypadek — jak donosi *Kurjer Rzeszowski* — zdarzył się na polowaniu na dziki, które się we środę, d. 17. października, odbyło w Borku starym, własności barona Adolfa Brunickiego. Naczelnik sądu w Tyczynie, p. Jabłoński, ranił śmiertelnie śrutem sarnim dzika, tak, że tenże powalił się na ziemię. Leśniczy, August Vogelgesang, zbliżył się do ranionego dzika dla przekonania się o skuteczności strzału. Wtem raniony śmiertelnie zwierz dobywa ostatków sił, rzuca się na leśniczego, a kalecząc go w obie nogi, odgryza mu mały palec u lewej ręki. Dzika dobito, a pokaleczonego leśniczego odwieziono do szpitala w Rzeszowie.

Lochę, ważącą 287 kilogramów ubito w rewirze Temowskim w Pomeranii. Okaz dzika tej wielkości, należy tam do rzadkości nadzwyczajnych.

Nadzwyczajny połów pstrągów. P. Edward hr. Starzeński pisze w nr. 12 „Okólnika" kraj. Towarzystwa rybackiego co następuje: „Jakie nadzwyczajne rezultaty osiągnąć można przez systematyczne zarybianie rzek i potoków, o tem daje świadectwo gospodarstwo rybne w Porembie wielkiej. Właściciel tych dóbr p. Antoni hr. Wodzicki od wielu lat utrzymuje tamże wylęgarnię, w której rok rocznie wychowuje się znaczna ilość narybku pstrąga, rozpuszczanego następnie do Raby i potoków do niej wpadających. Cały obszar wód podzielony jest na rewiry, pozostaje pod strażą i opieką 10-ciu zaprzysiężonych dozorców rewirowych, a główny dozór i kierunek pozostaje w doświadczonych rękach łowczego p. Ernesta Fuchsa. Wody w Porembie wielkiej roją się też pstrągami, a łowy na wędkę należą tam do prawdziwych przyjemności.

„Zaproszeni przez gościnnego dziedzica dóbr, udaliśmy się z wędkami na łowy do Poremby wielkiej w dniu 5 lipca b. r. Okoliczności łowom nie bardzo sprzyjały. Najprzód do połowu na sztuczną muszkę pora była nieco spóźniona, gdyż najlepszą porą jest koniec maja i początek czerwca. W tym roku była w całej okolicy wielka powódź, która wiele pstrągów zniszczyła, na dwa dni przed połowem była powódź mniejsza, która wprawdzie pstrąga nie wyniszczyła, jednak wypędziła go ze swego stanowiska; wreszcie tylko jeden dzień była woda czysta, przez trzy zaś nieco mętna (opalowa).

„Łowy trwały 4 dni w cztery wędki, tylko popołudniu od godziny 4-ej do 8-ej wieczór, ja nadto łowiłem od godziny 5-ej do 8-ej z rana i złowiliśmy przez ten czas 436 pstrągów długości 20 do 25 cm., niektóre zaś dochodziły długości 36 cm. i półtora funta wagi. Za ponętę służyła sztuczna muszka, a tylko kilkanaście lepszych okazów złowiono na sztuczną rybkę: „Phantom."

„Ten świetny rezultat łowów powinien zachęcić każdego posiadacza wód górskich do zarybiania takowych pstrągiem: koszt za-

rybiania bardzo nieznaczny wróci się stokrotnie, a praca podjęta nietylko przyniesie korzyści właścicielowi, lecz podniesie także bogactwo narodowe. Górzyste okolice kraju naszego posiadają taką obfitość wód pstrągowych, żebyśmy wkrótce byli w możności zaopatrywania w pstrągi wszystkie większe miasta monarchii."

Sprostowanie. W artykule p. W. Spausty, „Niedobitki" w nr. 10 „Łowca" na str. 149, w 12 wierszu od dołu, ma być d e b e r zamiast d ę b ó w.

Korespondencya redakcyjna. P. J. B. w Kołomyi. Przysłanej nam korespondencyi umieścić nie możemy. Korespondencye z cechą osobistą, przyjmujemy w ogóle tylko od znanych nam prenumeratorów.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.